

poprzedni w Nr-179/788

103
J6



steinborn Adam

K G-K Obsz.
Zo.choł.
Z W Z-A K

Steinborn Adam
ps. Dolr. "Odrowąż"
"Tucholczyk Toruńczyk"
przybr. naz. Adam Salsak

VII

K-179/788 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Steinborn Adam

T: A-179/788 Pom

K G; K. Obsk. Zach. A G

I./1. Relacja k. 35 s. 1-35

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora k. 4 s. 1-4

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację k. 10 s. 1-12

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 16

VI. Fotografie *dział ikonografii*

1/1. Relacja - Steimborn Adam

1. Adam Steimborn, Wspomnienia z lat 1939-1945, Rocznik Warszawski XIX, 1987, s. 151-187, kserokop, mpis k. 32 s. 1-32
2. Adam Steimborn, Wspomnienia lat 1939-1945, uwagi na temat „Wspomnień...”, przekształcone przez St. Salmowickie 15.06.1982, mpis k. 1 s. 33
3. Krystyna Podlaskowska - Adam Steimborn, „Tomiszek”, oficer kontrwywiadu, mpis, oryg. 1939-1945 k. 2 s. 34-35

„Rocznik Warszawski” XII, 1987

ADAM STEINBORN

WSPOMNIENIA Z LAT 1939—1945

Adam Steinborn urodził się 30 maja 1903 r. w Toruniu. Rodzice — Otton Steinborn, lekarz, i Helena z Kawczyńskich — byli działaczami niepodległościowymi. Uczestnicząc w kampanii 1920 r. poznał w Warszawie przyszłą żonę (ślub 1927), Janinę Mieszkowską; rozpoczął studia w warszawskiej Wyższej Szkole Handlowej, gdzie po dyplomie (1925) był w latach 1927—1930 także asystentem Katedry Geografii Gospodarczej. W 1926 r. podjął również pracę w Krajowej Hurtowni Herbaty „Szumilin”, której dyrektorem został w 1938 r. W latach trzydziestych pełnił wiele funkcji w organizacjach zawodowych: Zgromadzeniu Kupców Polskich, Polskiej Centrali Importu Kawy, Izbie Przemysłowo-Handlowej, Kompanii Handlu Zamońskiego, Zrzeszeniu Hurtowników Kolonialnych i in. Jako podporucznik artylerii zmobilizowany w 1939 r., po klęsce wrześniowej wrócił do Warszawy i prowadził firmę „Szumilin”, przekształconą w Hurtownię Apropowizacyjną, wykonując jednocześnie zadania oficera Armii Krajowej, będące głównym przedmiotem wspomnień.

W latach 1945—1949 współuczestniczył w odbudowie polskiego handlu zagranicznego, m.in. jako drugi dyrektor firmy „Transactor”. W tym czasie, a także w latach sześćdziesiątych, wykładał w Szkole Głównej Planowania i Statystyki i na Wyższym Studium Języków Obcych przy Uniwersytecie Warszawskim. Więziony do 1953 r., zrehabilitowany w 1957; wówczas powrócił do handlu zagranicznego i w przedsiębiorstwie „Metal-export”, gdzie pracował do jesieni 1980 r.

Posiadał odznaczenia wojskowe i zawodowe: Krzyż Walecznych (4 VII 1943), Krzyż Virtuti Militari (10 XI 1944), Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami (1 I 1945), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (6 X 1971). Zmarł 12 III 1982 r.

W czasie wojny byłem oficerem kontrwywiadu sztabu Armii Krajowej. Aby wyjaśnić, dlaczego powierzono mi tę funkcję, muszę cofnąć się do okresu dzieciństwa i młodości.

Urodziłem się w Toruniu w 1903 r., pod zaborem pruskim. Od dzieciństwa i pierwszych lat szkolnych miałem więc do czynienia z zaborcą pruskim, z Niemcami, których ówczesna działalność germanizacyjna i tępienie polskości niewiele różniło się od postępowania Niemców w czasie ostatniej wojny, choć krwawy terror hitlerowców postąpił na oczywiście innymi metodami. Znajomość psychologii Niemców, ich języka, była właśnie tym czynnikiem, który wykorzystwały nasze władze podziemne, zlecając mi zadania w kontrwywiadzie.

W Toruniu, od pierwszej klasy Vorschule (poszedłem do niej jako pięcioletni chłopiec, nie znający jeszcze niemieckiego) uczyłem się pozna-

11/12

wać psychikę Niemców. Szkolne doświadczenia nauczyły mnie już, że Niemcy liczą się z tymi, a nawet może szanują tych, którzy z pozycji równego z równym, z odwagą cywilną, przyznają się do polskości. W gimnazjum (a było to gimnazjum nazwane po pierwszej wojnie imieniem Mikołaja Kopernika) nigdy nie ukrywałem, że jestem Polakiem. Bywało, że w klasie, w której było kilku Polaków, na zapytanie niemieckiego wychowawcy na początku roku: „wessen Muttersprache ist eine andere als die deutsche?” — wstawałem jako jedyny i może z chłopciami przekorą oświadczałem, że jestem Polakiem. Żaden z nauczycieli, przez wszystkie lata gimnazjum, nie robił mi z tego tytułu uwag czy przykrości, natomiast koledzy Polacy nie przyznający się oficjalnie do polskości często musieli wysłuchiwać epitetów w rodzaju: „Du dummer Polack”, „polnischer Lausbub” itp. Jednym słowem, upokarzani byli za to, że z powodu np. służbowej zależności rodziców od władz zaborców lub ulegając strachowi bądź wręcz propagandzie, zatajali swoją prawdziwą narodowość. Moją postawę ukształtowała oczywiście przede wszystkim patriotyczna atmosfera domu rodziców, zasłużonych działaczy społecznych¹.

Poza gimnazjum natomiast miałem wiele przykrości; pamiętam, na przykład, jak jadąc tramwajem z bratem Witoldem oberwałem po twarzy od jakiejś Niemki za to, że w publicznym miejscu rozmawiałem po polsku, co było zakazane przez bismarkowskie „prawo kagańcowe”, obowiązujące i w Toruniu. W roku 1917, pod koniec wojny, w gimnazjalnym klubie wioślarskim kolega Niemiec powiedział coś złośliwego o uczniach Polakach; skoczyłem do niego i zaczęła się bójka. Opiekun klubu, Niemiec, profesor Prove, przybiegł do szatni i rozdzielił nas tłukących się na ziemi. Kiedy wyjaśniałem, że poczułem się dotknięty obrazą mojej ojczyzny, profesor kazał owemu Albrechtowi, koledze z tej samej ławki zresztą, głośno wobec wszystkich mnie przeprosić. Inny incydent charakteryzujący ówczesny stosunek Niemców do nas, Polaków, zdarzył się w VIII klasie (1918): wychowawca klasy, uczący nas francuskiego, dr Lahrmann, opowiedział rano w klasie, że wyczytał w gazecie o „napadnięciu przez Polaków granicy niemieckiej nad Drwęcą”, i użył przy tym obraźliwego określenia: „die Polacken”. Zareagowałem na to w ten sposób, że demonstracyjnie opuściłem klasę i zacząłem możliwie głośno spacerować na korytarzu przed gabinetem dyrektora. Dyrektor, dr Ganzke, wyjrzał i spytał: „was ist los?”, dlaczego nie jestem w klasie? Wyrecytowałem z przejęciem, że profesor Lahrmann obraził moją narodowość. Dyrektor wrócił ze mną do klasy i bez wstępów powiedział Lahrmannowi, że to jest „unerhört”, by profesor obrażał ucznia używa-

¹ -> działalności rodziców por. np. esej w „Roczniku Torzyskim”, t. 2, 1987, s. 87-104.

jąc obelżywych wyrażań o jego narodzie. Nastąpiła sensacja, bo Lahrmann musiał mnie wobec całej klasy przeprosić. Miałem wówczas 15 lat, ale trzeba też przypomnieć, że był to okres zbliżającej się klęski Niemców.

Poza szkołą koledzy-Niemcy atakowali nas najczęściej na naszych wycieczkach harcerskich (oczywiście tajnego harcerstwa) za miasto czy na przedmieściach, ale tylko gdy było ich przynajmniej dwa razy więcej niż nas, chłopców-Polaków. Gdy byliśmy w większości, Niemcy nas nie zaczepiali.

Te i podobne doświadczenia uczniowskie nauczyły mnie więc wcześniej, że w przypadku odważnego i ostrego postawienia się przez Polaka — Niemiec nie atakuje. Oczywiście pod warunkiem, że Polak nie jest jeszcze w jego mocy, np. w więzieniu. Na wolności Niemcy Polaków wtedy w ogóle nie zaczepiali, chyba że wyczuli ich strach albo zdecydowanie niższą pozycję społeczną: nędznie wyglądającego, brudnego Polaka traktowali a priori jako „Untermenscha”.

Mimo tak odmiennej od warunków w zaborze pruskim sytuacji w czasie ostatniej wojny — niektóre z tamtych moich doświadczeń sprawdziły się: kilka razy byłem zatrzymany w czasie „łapanek” ulicznych w Warszawie przez żandarmerię czy gestapo, ale dzięki demonstrowanej pewności siebie, znajomości języka i, rzecz jasna, ważnym dokumentom — uchodziłem przed nieszczęściem aresztowania. Zdarzyło się, na przykład, w Częstochowie, że przy „łapance” jakiś oficer wżasnął na mnie: „Du!”, a kiedy z wyniosłym spokojem zapytałem: „wen meinen sie, mich?” — Niemiec odczepił się z „entschuldigen sie, bitte”. Było to niemal regułą, bowiem Niemiec, zaskakiwany płynną niemiezczyzną i moim tupetem, tracił pewność siebie i w swojej podświadomości służalczej mentalności reagował przeproszeniem. Przypominam to wszystko, nie żeby się przechwalać (bo i nie ma czym), ale aby podkreślić, że znałem Niemców od dzieciństwa i stąd brała się ta pewność siebie w postępowaniu z nimi. Po prostu byłem bardziej uodporniony i mniej dotknięty paniką niż inni, niejednokrotnie na pewno dzielniejsi ludzie.

Ojciec mój, Otton-Andrzej, wpajał synom i całemu swemu otoczeniu zasadę odważnego i zdecydowanego postępowania z Niemcami (był przecież doświadczonym działaczem niepodległościowym już od czasów gimnazjalnych)². Uważał wyrobienie w sobie odwagi cywilnej za podstawową broń w trwającej walce z germanizacją.

Z lat studiów pamiętam zdarzenie potwierdzające słuszność wskazówek ojca; kiedy we wrześniu 1927 r. zbierałem materiały do pracy magisterskiej w bibliotece „Weltwirtschaftshandelsarchiv” w Hamburgu,

² Por. np. M. Wojciechowski, Otton Steinborn 1868—1936, w: *Działacze Towarzystwa Naukowego w Toruniu*, Warszawa 1975, s. 181—216.

Tłusty

zobaczyłem w czytelni rozwieszoną na ścianie dużą mapę polityczną Europy, na której obszary Pomorza, Poznańskiego i Śląska przedstawiono jako należące do Niemiec; ówczesnie aktualną granicę zaznaczała ledwie widoczna linia, objaśniona w legendzie jako „czasowa linia wersalska”. Zgłosiłem się do dyrektora biblioteki i zaprotestowałem przeciwko temu oświadczając, że biblioteka naukowa szerzy w ten sposób wśród swoich pracowników i czytelników propagandę szowinistycznego bojkotu powojennej granicy. Energicznym wystąpieniem spowodowałem przeprosiny profesora i wydanie przez niego polecenia natychmiastowego usunięcia mapy. Oczywiście nie znaczy to, że kiedy przestałem tam przychodzić, mapy znów nie rozwieszono; bezpośrednia reakcja Niemca była jednak typowa.

Tyle tytułem wstępnych wyjaśnień. Druga wojna światowa rozpoczęła się dla mnie 25 sierpnia 1939 r., kiedy zostałem zmobilizowany i jako oficer Korpusu Oficerów Transportowych Sztabu Głównego otrzymałem rozkaz objęcia stanowiska komendanta stacji kolejowej Chełm Lubelski. (Mała dygresja dla wyjaśnienia tej nominacji: Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii ukończyłem w Grudziądzu w 1926 r. jako ogniomistrz podchorąży z I lokatą; po odbyciu kilkakrotnych ćwiczeń wojskowych awansowałem w 1928 r. na podporucznika artylerii (również z I lokatą). W 1939 r. odbyłem kurs szkoleniowy w Sztabie Głównym dla oficerów transportowych).

Chełm Lubelski był węzłową stacją przelotową na wschód i południe (Równe, Kowel, Lwów, Rumunia), przez którą owego września przechodziły wszystkie transporty rządowe, również z cennymi pamiątkami narodowymi. Tu pierwszy raz zetknąłem się z tragicznymi sytuacjami ewakuacyjnymi. Stacja była bezustannie nękana nalotami bombowymi, rozgrywały się dantejskie sceny wśród tłumów oblegających masakrowane bombami ostatnie pociągi. W czasie jednego z takich nalotów, gdy biegłem po sanitariuszy, i mnie podmuch bliskiej bomby wrzucił — nieprzytomnego — do przeciwniejszego rowu, a obudziła... modlitwa kobiet nad zmarłym(!). Mniej więcej po tygodniu stacja Chełm Lubelski została kompletnie zniszczona, ruch zanikł całkowicie, a służba kolejowa w popłochu, częściowo na rozkaz, opuściła swoje posterunki. Tak samo przestała istnieć Wojskowa Komenda Placu. Wówczas postanowiliśmy z kolegą, moim zastępcą, zgodnie z radiowymi poleceniami wojskowymi, wycofać się na motocyklu do Lwowa, dokąd skierowany został mój ówczesnie macierzysty pułk (4 p.a.c. z Wilna) i gdzie, jak słyszeliśmy, armie nasze walczyły w walkach odwrotowych pod dowództwem gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Przed wyjazdem zdołaliśmy jeszcze w opustoszałym budynku Dyrekcji Kolejowej zniszczyć groma-

dzące się tam taśmy z wojskowymi depeşami i unieruchomić odbiorcze aparaty telegraficzne.

W tym miejscu mógłbym szerzej opowiedzieć o wzięciu nas z kolegą do niewoli (pod Mostami, w Krystynopolu) i o ucieczce (zamknięci na tamtejszej plebanii, uciekliśmy zwykłym dość fortelem), ale oddalałbym się w ten sposób od zasadniczego tematu wspomnień.

Gdy dobrnęliśmy do przedmieść Lwowa, miasto było zajęte przez wojska sowieckie, a ponieważ nie natrafiłem również na żadne ślady mojego pułku — zdecydowaliśmy, że ja wracam do Warszawy, kolega zaś przedostaje się na Węgry. W ubraniu cywilnym, otrzymanym za mundur i buty oficerskie od jakiegoś gajowego, i po zniszczeniu moich dokumentów wojskowych rozpocząłem pieszą wędrówkę, a właściwie przedzieranie się do Warszawy, co też obfitowało w trudne sytuacje. Po jedenastu dniach marszu — około 350 km — o głodzie (wstępowanie do wsi ukraińskich było niebezpieczne), po przepłynięciu Wisły pod Zawichostem ostrzeliwaną rybacką łódeczką, dobrnęliśmy z kolejnym towarzyszem mojej wędrówki, porucznikiem Eugeniuszem Lempkem, do Tąkiel w Crójeckim, majątku kuzyna żony, Jana Wyleżyńskiego. Kuzyn nakarmił, opatrzył pokaleczone nogi i zapakował przeziębionych do prawdziwych łóżek. Ale już następnego ranka wyruszyliśmy dalej, tym razem furmanką, załadowaną przez kuzyna workami prowiantu, gdyż wiadano, że Warszawa po wrześniowym oblężeniu głoduje. Jechaliśmy polnymi drogami, bo niemal wszędzie były już wojska niemieckie. Przez Piaseczno zajechaliśmy do Chyliczek, gdzie w sierpniu na lotnisku zostawiłem żonę z dwiema córeczkami. Dziewczynki nie poznały ojca w wymizerowanym, ledwie wchodzącym na schody mężczyźnie w zniszczonym ubraniu; młodsza zawołała do szwagierki: „ciociu, daj coś do zjedzenia, bo przyszedł zebrać”. Dopiero gdy odezwałem się, nastąpiła radość powitania, zmącona wiadomością, że tego właśnie dnia żona poszła do Warszawy, by odszukać swych rodziców (był to pierwszy dzień, kiedy można było wejść do miasta). Pojechałem tam i ja następnego dnia, jeszcze furmanką z Tąkiel.

Warszawa była otoczona kordonem niemieckiego wojska i żandarmerii, gdyż tego właśnie dnia, 9 października, odbywała się w stolicy w Alejach Ujazdowskich defilada przed Hitlerem. Po wielu perypetiach dobrnąłem do domu teściów przy ulicy 6 Sierpnia, aby się dowiedzieć, że żona przed trzema godzinami wyszła z powrotem do Chyliczek. Teściowa, Stefania Mieszkowska, zajęła się mną po matczynemu, doprowadziła do ludzkiego wyglądu, a przede wszystkim zaraz sprowadziła dra Karwackiego (długoletniego lekarza rodziny), który opatrzył moje pokaleczone ropniami stopy. Niespokojny o losy Firmy „Szumilin”, której byłem dyrektorem, poszedłem na ul. Miodową 25. Po drodze wstąpi-

1/11/16

łem jednak do Izby Przemysłowo-Handlowej przy ul. Wiejskiej, naszej nadrzędnej organizacji gospodarczej, której byłem radcą, aby tam dowiedzieć się, co należy robić, czy są jakieś instrukcje, i żeby zdobyć obraz ogólnej sytuacji, w której miałem teraz działać.

Tak zaczął się dla mnie okres okupacji. W zdewastowanym budynku Izby przy ul. Wiejskiej 10 (obecnie siedziba Ministerstwa Handlu Zagranicznego) zastałem dyrektora Bolesława Rutkowskiego (później członek Delegatury Rządu na kraj) i personel starający się o uporządkowanie bałaganu. W rozmowie uzgodniliśmy, że mimo tak tragicznych zmian należy uruchomić organizacje gospodarcze, niezbędne dla życia społecznego, a również po to, by dać szansę zatrudnienia ludności. Postanowiliśmy zwołać tych członków Izby, którzy pozostali w Warszawie, i decydować, co dalej. W czasie tej rozmowy przyszedł do dyrektora woźny i zapowiedział oficera niemieckiego, który chce mówić z kierownictwem Izby. Ponieważ nie było tłumacza Izby, pani Jezierskiej (po wojnie pracowała jako zaprzysiężony tłumacz przy Sądach na Lesznie) — Rutkowski poprosił mnie o pomoc. Wszedł wysoki, elegancki wojskowy. Jego wygląd skojarzył mi się ze wspomnieniem z dzieciennych wakacji w Jelitkowie koło Oliwy, gdzie widywaliśmy regiment kawalerii niemieckich huzarów (Totenkopfhusaren z Wrzeszcza): taki sam krój munduru i emblemat trupiej główki na czapce. Pomyślałem naiwnie, że ten Niemiec jest oficerem niemieckiej kawalerii. On tymczasem wyjaśnił nam, że jest wydelegowany z ramienia władz niemieckich Warszawy do Izby Przemysłowo-Handlowej dla zorientowania się w sytuacji gospodarczej miasta, jest bowiem odpowiedzialny za uruchomienie wszystkich, nie funkcjonujących przecież po oblężeniu, urządzeń użyteczności publicznej (wodociągi, gaz, elektryczność itp.). Rozmowa była raczej spokojna, grzeczna, bez cech brutalności niemieckiej.

Ponieważ uważałem go nadal za kawalerzystę, zwracałem się do niego „Herr Rittmeister”, a pod koniec rozmowy spytałem, co grozi polskim oficerom rezerwy ze strony Niemców; była to dla nas przecież sprawa bardzo ważna. Powiedziałem mu, że jako dyrektor jednej z firm handlowych poczuwam się do obowiązku dalszego jej prowadzenia i nie wiem, czy jako oficer rezerwy nie będę miał z tym trudności. Odpowiedział, że w tych sprawach nie jest zorientowany, ale zapytał w Platzkommandantur i poinformuje mnie w swoim biurze przy alei Szucha 25, prosząc, ażebym się tego samego dnia po południu do niego zgłosił. Podał swoje nazwisko — dr Ernst Kah.

Poszedłem następnie do swojej Firmy przy ul. Miodowej 25, gdzie byli obecni wszyscy prawie pracownicy wraz z moim zastępcą, starszym panem, członkiem zarządu — dyrektorem Bolesławem Szurigiem (ojcem

Jerzego, zamordowanego później w Palmirach) oraz Wacław Szurig. Porządkowali biura, w których było pełno gruzu, szyby potłuczone itd. Wszyscy bardzo się ucieszyli, że „wróciłem z wojny”, popłakaliśmy się dosłownie. Mówiłem, że będę się starał, że zrobię wszystko, by Firma nadal funkcjonowała, to znaczy, byśmy wszyscy mieli zatrudnienie i wspólnie mogli przetrwać „ten krótki przecież okres okupacji”. Po południu, zgodnie z umową z Niemcem, poszedłem pod wskazany przez niego adres do gmachu Ministerstwa Szkolnictwa i Wyznań Religijnych przy alei Szucha. Na parterze zauważyłem wojskowych z tą samą, co „mój Niemiec”, poznany w Izbie, trupią główką na czapkach; napis na tablicy informacyjnej głosił, że w gmachu urzęduje Geheime Staatspolizei, tzn. gestapo. Teraz dopiero zorientowałem się z przerażeniem, gdzie się znalazłem! Ponieważ dyżurny podoficer już telefonował do dra Kah (dr filozofii i dr prawa), nie mogłem nagle wycofać się i uciec. Kah znał już przecież moje nazwisko i miejsce pracy. Dyżurny polecił mi iść na II piętro, gdzie przy schodach czekał już „mój znajomy kawalerzysta”, grzecznie zapraszając do gabinetu. W pokoju pierwsze jego słowa brzmiały: „Warum sind sie so blass?”. Nie pozostało mi nic innego, jak siłąć się na spokój wyjaśnić, że elementy jego munduru zmyliły mnie przy spotkaniu w Izbie i wziąłem go za oficera kawalerii; dlatego też bez żadnych obaw przyszedłem tu i dopiero przed chwilą zorientowałem się, gdzie jestem, a trudno dziwić się niepokojowi Polaka, który znalazł się w siedzibie gestapo, stanowiącego dla nas symbol wrogości. Kah odpowiedział, że ceni sobie, iż sprawę stawiam otwarcie, jasno wyrażając stosunek Polaków do tej organizacji.

Te pierwsze zdania, które wówczas wymieniliśmy, określiły płaszczyznę, na jakiej odtąd mieliśmy się porozumiewać: płaszczyznę wrogich, ale „honorowych oficerów”. (Nie bez wpływu na to były pewnie „podniosłe” lektury klasycznego dziewiętnastowiecznego gimnazjum, na których obaj jeszcze wyrastaliśmy.) Sądzę, że Kah przyjął ten sposób d'être chętnie i chyba okoliczność znajomości z Polakiem, przedstawicielem sfer handlowych stolicy, władającym niemieckim, była mu na rękę. Wyjaśnił mi wtedy, co to jest „Sicherheitsdienst”, do której on należy, a co gestapo. Już w tej rozmowie, może z intencją, odżegnywał się od brutalności i krwiożerczych metod gestapo. Dla mnie zaś owa, wówczas spontanicznie przyjęta, postawa miała okazać się maską, przy pomocy której załatwiałem sprawy dużo istotniejsze aniżeli „osobiste rycerskie pojedynki”.

W dalszej rozmowie Kah powiedział, że za kilka dni będą rozlepione w mieście ogłoszenia nakazujące polskim oficerom służby czynnej i rezerwy zarejestrowanie się w budynku Komendy Miasta przy pl. Piłsudskiego (dziś Plac Zwycięstwa). Pewne jest, że następnie będą oni wywie-

7/11/8

zieni do oflagów. Władze niemieckie ze zrozumiałych względów będą eliminować z życia w okupowanym kraju oficerów armii polskiej, ale — dodał — „stosować się będzie wyjątki wobec mężczyzn potrzebnych do uruchomienia i prowadzenia życia gospodarczego”. Zaznaczył, że podaje mi tę poufną wiadomość, bo prosiłem o informacje jak oficer oficera. Podziękowałem, a wróciwszy do miasta zająłem się ostrzeganiem kolegów i krewnych o grożącej sytuacji. Radziłem też, by natychmiast ukryli się, żeby nie widzieli ich dozorczy domów lub donosiciele, i przeczekali w ukryciu okres zabierania oficerów do obozów jenieckich (o tym, że grasują już konfidenci gestapo i że werbuje się dozorców kamienic, wspomniał — niechcący — Kah). Dlatego też i sam do połowy grudnia nie mieszkalem u siebie przy Pięknej 22, lecz poza Warszawą lub u teściów. W ten sposób uratowało się wielu mężczyzn.

Tymczasem udało mi się, jak wielu innym firmom, za pośrednictwem Izby Przemysłowo-Handlowej uzyskać papier poświadczający moją przydatność dla życia gospodarczego, a „Szumilina” przekwalifikować na „Rejonową Hurtownię Apropowizacyjną nr XXIII”³, a więc należącą do grupy „Lebenswichtiger Betrieb”. (Niemcy stworzyli dwie grupy: I. Kriegswichtiger Betrieb, i II. Lebenswichtiger Betrieb.) Mogłem zatem zostać w Warszawie oficjalnie, nie zamknięty w beczynności oflagu.

✓ Rozmowę z Kah zrelacjonowałem oczywiście w Izbie dyrektorowi Rutkowskiemu, który uznał za wskazane utrzymać kontakty z hitlerowcem. Rozumowaliśmy, że może to być przydatne i potrzebne polskim sferom gospodarczym. W dalszych dyskusjach w tych kręgach, m.in. ✓ z prezesem Stowarzyszenia Kupców Polskich, Stefanem Barcikowskim, i prezesem Naczelnej Rady Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego, Henrykiem Brunem (później rozstrzelanym jako zakładnik w Palmirach), również uznaliśmy, że jako „przypadkowy znajomy” jednego z Niemców może będę mógł zdobyć informacje, które ułatwią nam taktykę postępowania, i będziemy mogli podejmować decyzje bardziej zorientowani w polityce Niemców, a dzięki temu odpowiednio starać się chronić gospodarke przed okupantem. Nie wiedzieliśmy jeszcze w tych dniach, jaka może być, jaka będzie ta władza okupacyjna; jak będzie zorganizowane życie gospodarcze.

Kiedy powstała podziemna organizacja wojskowa Związek Walki Zbrojnej, jako oficer rezerwy zaraz się zgłosiłem. Uosobieniem ZWZ w tym czasie był dla mnie i pracowników „Szumilina” pułkownik Julian Królikowski, który przychodził do Firmy i wciągnął do organizacji wszystkich zaufanych mężczyzn „Szumilina”.

³ Por. „Warszawa lat wojny i okupacji”, z 1. 1971, s. 31, 40—42.

Pewnego dnia, chyba w maju 1940 r., zjawił się u mnie na Miodowej 25 Bernard Zakrzewski. Zaproponował mi spotkanie następnego dnia w kawiarni przy ul. Narbutta (jak się później okazało — stałym miejscu kontaktów oficerów polskiego Podziemia). Spotkawszy się tam z nim, wyczułem jego zadomowienie w tym lokalu. Zakrzewski przedstawił mnie dwom panom, którzy w pozornie towarzyskiej rozmowie zaczęli mnie wypytywać o Toruń, o dom rodziców, o działalność polityczną i społeczną ojca, następnie o przebieg mojej służby wojskowej — od podchorążówki poczynając, a na funkcjach pełnionych we wrześniu 1939 r. kończąc. Pożegnaliśmy się, a ja wciąż nie wiedziałem, o co chodzi. Po kilku dniach Zakrzewski znów zjawił się w Firmie i wprost zapytał mnie, z naciskiem i dwukrotnie, czy uważam się nadal za oficera związanego przysięgą wojskową i zobowiązanego do służby wojskowej ojczyźnie. Odpowiedziałem oczywiście twierdząco i przypomniałem, że jestem członkiem ZWZ.

Poprosił o spotkanie następnego dnia, tym razem w kościele Św. Aleksandra (praktyka zmiany miejsca spotkań czy nawiązywania kontaktów już obowiązywała w konspiracyjnej pracy). W kościele Zakrzewski oświadczył mi, że podziemne władze wojskowe zdecydowały wciągnąć mnie do najbardziej tajnych poruczeń specjalnych swej działalności. Polecił mi wrócić prosto do domu i tam czekać do południa następnego dnia, kiedy zostaną dodatkowo zaprzysiężony. Polecił też, by w tym czasie nie było nikogo w domu.

Nie pamiętam, czym uzasadniłem wobec mojej żony „potrzebę samotności”, ale byłem sam w domu, gdy zadzwonił młody mężczyzna. Pod płaszczem miał na sobie sutannę przepasaną czerwoną szarą (jezuita?). Wprowadzony do stołowego, poprosił o jakiś poświęcony obraz. Zdjąłem ze ściany obrazek *Serca Jezusowego*, który postawił na stole, a z teczki wyjął dwie świece w lichtarzach i Pismo Święte. Przedtem zapytał, czy gotów jestem złożyć przysięgę zachowania tajemnicy „ad mortem”. Zapalił świece, odczytał formułę, przeze mnie powtarzaną, która była dużo dłuższa niż przysięgi, jakie składałem w podchorążówce czy przy ślubnym ołtarzu. Był bardzo poważny, ja — bardzo wzruszony. Chciałem poczęstować go herbatą, ale odmówił i zaraz wyszedł, prosząc, abym co najmniej przez kwadrans nie opuszczał mieszkania.

Po kilku dniach Zakrzewski zaprosił mnie do mieszkania w domu (częściowo obecnie zniszczonym) przy ul. Ludnej; miałem się zgłosić o godzinie 12, zadzwonił trzy czy cztery razy. Wprowadził mnie do salonu, mającego cechy secesyjnego salonu ziemiańskiego, gdzie zastałem już czterech nie znanych mi panów. Posadzono mnie w ten sposób, że wszyscy panowie mogli mnie dobrze widzieć. Pytano znów o Toruń, dom rodziców, moją służbę wojskową, przeżycia wojenne oraz o moją

1/11/10

pracę w ZWZ i zawodową. Po tych dociekliwych badaniach panowie opuścili pokój, zostawiając mnie z Zakrzewskim. Po kwadransie zawiadomili mnie (wszyscy staliśmy na baczność), że po zaprzysiężeniu, wedle rozszerzonej i pogłębionej formuły, decyzją sztabu będę pełnił funkcję oficera do specjalnych poruczeń. Oświadczono mi, że pełnienie tego obowiązku będzie odpowiedzialne i niebezpieczne. Mam zakaz walki z bronią w rękę, nie wolno mi nigdy brać udziału w akcjach zbrojnych przeciw Niemcom; mogę tylko w chwili ostatecznego niebezpieczeństwa zażyć truciznę (wręczono mi cyjanek potasu, który polecono zawsze nosić przy sobie i co jakiś czas zapas odnawiać).

Wróciłem do domu, przeżywając jednak głęboki wstrząs. Po pierwsze, zawsze do tej pory dzieliłem wszystkie sprawy z żoną; do córek miałem zawsze stosunek szczery, przyjazny, a teraz wszystkie trzy będą znały tylko jedno moje wcielenie. To właśnie chyba najbardziej mnie niepokoiło — ta konieczność podwójnego niejako życia, bo naturę miałem i mam raczej szczerą, otwartą, a na przebiegłość i dyplomację dotychczas nigdy nie było mnie stać. Teraz zaś miałem „zewnątrznie” zostać solidnym pater familias i odpowiedzialnym dyrektorem Firmy „Szumilin”, równocześnie jednak działać w najgłębszej konspiracji (choć nie wiedziałem jeszcze, jak to drugie działanie będzie wyglądało). Wiedziałem, że nadal będę szanowanym przez kolegów z życia gospodarczego „panem dyrektorem Steinbornem”, ale nikt z nich nie może wiedzieć, że mam jeszcze inne, przynajmniej równie poważne, zadania wojskowe. Bowiem tam, na Ludnej, nakazano mi, by mój sposób bycia i zachowania w niczym nie przypominał postawy konspiracyjnego oficera; nikt nie może domyślać się nawet, że jestem związany z jakąkolwiek pracą konspiracyjną. Odseparowany zostałem od całej maszyny organizacyjnej ruchu oporu, z którym miałem właściwie tylko jeden kontakt, o czym jeszcze powiem.

Niedługo potem ustaliła się moja sytuacja wobec kolegów, z którą musiałem się pogodzić. W moim otoczeniu mianowicie, w „Szumilinie” przede wszystkim, które wiedziało, że należę do ZWZ, wyczułem opinię, że „Steinborn się izoluje, odłącza”. Wylęczał mnie z różnych akcji istotnie, jak się później okazało na skutek odgórnych poleceń, pułkownik Królikowski, obarczający mnie tylko jakimiś obowiązkami typu reprezentacyjnego. W odprawach „szumilinowskich” brałem udział dorywczo, żadnych zadań mi nie powierzano. Z czasem koledzy przyzwyczaili się, że jako dyrektor Firmy nie mogę brać czynnego udziału w wojskowej konspiracji, którą jednak na terenie Firmy z przekonaniem popieram.

Piękna była karta walki z okupantem pracowników Firmy „Szumi-

lin" — pisałem o niej w osobnym wspomnieniu⁴. Jakkolwiek w miarę upływu czasu poszczególni pracownicy należeli do różnych oddziałów ZWZ, a później AK (szefem Akowców „Szumilina” był Bolesław Kruze z ramienia por. Romana Kiźnego, pseudonim „Pola”), to cały aparat techniczny Firmy (samochody, maszyny do pisania itp.) każdy z nich mógł wykorzystywać do swoich akcji, ogólnie tylko zgłaszając mi potrzebę. I tak, na przykład, w 1943 roku w akcji „Góral” — zdobycia konwoju Banku Polskiego wraz ze 100 milionami złotych — stary wózek ręczny do rozwożenia herbaty zablokował na ul. Senatorskiej drogę samochodu bankowego. Część polskiej obstawy z bronią maszynową była w szumilinowej chevrolecie (zwanej przez nas „Kitajec” z uwagi na zdobiącą ją reklamę); do niej przelożono zdobyte pieniądze i nią wywieziono je poza Warszawę⁵. „Szumilin” istniał oficjalnie jako „Rejonowa Hurtownia Apropowizacyjna Nr XXIII”, zajmująca się oficjalnie rozdzielaniem artykułów kartkowych, mógł więc stanowić niejako „bazę techniczną” dla działalności wojskowej. W magazynach Firmy ukryte były zmyślnie magazyny Armii Krajowej (w dyspozycji por. Kiźnego) — amunicja i składnica radiosprzętu. Stwarzało to niekiedy, mimo założonego systemu alarmowego, groźne sytuacje. Przypomnę jedną z nich. Któregoś dnia wpadło gestapo i żandarmeria, obstawili wszystkie wejścia od ulicy i rozstawili karabiny maszynowe. Wpadli do mojego gabinetu z odbezpieczonymi rewolwerami i kazali natychmiast prowadzić się do magazynu z jajkami. Magazynier Roman Kreller i znajdujący się tam inni pracownicy widzieli się już rozstrzeliwani pod ścianą, bo w tym właśnie magazynie, zwanym jajczarskim, była zakamuflowana w głębi składnica AK. Niemcy dopadłszy skrzynek z jajkami sprawdzali pilnie stempelki na skorupkach; sprawdzili też ostatnie faktury dostaw z centrali rozdzielczej i policzyli skrzynki. Wreszcie jeden z oficerów poklepał mnie po ramieniu, że „Alles in Ordnung”, odwołał to całe stado żandarmów i odjechali. A magazynier Kreller zwolnił się u mnie i też wyszedł: do kościoła, by podziękować za cudowne ocalenie. Jak się później okazało, Niemcom skradziono w jakimś magazynie partię jajek, a rzekome poszlaki kazały im szukać ich m.in. w naszej Hurtowni Rejonowej. Byli zatem o metr od składnicy AK, ponieważ jednak rozkaz dotyczył sprawdzania jajek, więc w sposób typowy dla nich ograniczyli się szczęśliwie tylko do tej jednej sprawy.

Wracam do mojej służby wojskowej, w której przyjąłem pseudonim „Odr” (skrót od „Odrawąż”). Dowództwo moje, znając historię mojej

⁴ „Rocznik Warszawski” XV, 1979, s. 372—381.

⁵ Szczegóły por. E. Kumor, *Wycinek z historii jednego życia*, Warszawa 1967, s. 169—171, oraz A. Kunicki, *Cichy front*, Warszawa 1963, s. 81—82, 84, 86—89.

11 — Rocznik Warszawski, XIX

znajomości z drem Kah z Alei Szucha, przydzieliło mi funkcję „opiekun-alego aparatu niemieckiej policji; orientować się w funkcjach i charakterach” Doktora (tak określał się go później w raportach i rozkazach, dla przystępcy poszczególnych gestapowców (ich nawykach: czy biorą łatego, teraz też będą go tak nazywał). Był on wówczas jednym z Hauptów, czy utrzymują prywatne kontakty z Polakami, w których lokalsturmführerów Sicherheitsdienstu, a z czasem awansował na komentach bywałą itp.).

dania SD, w randze Standartenführera, na dystrykt Warszawy. Kazano Przymając się tych generalnych wytycznych, zawsze nawiązywałem mi utrzymywać z nim stosunki niemal towarzyskie, wykorzystując już rozmowach z Doktorem do przykładów niemieckiej niesprawiedliwostaisnialą płaszczyznę naszego „porozumiewania się”, o której wyżej i brutalności wobec ludności polskiej, choć oczywiście nie mogłem wspominałem. Występowałem wobec niego w pozycji dyrektora „Szu” bytnio przeciagac struny, by tego kontaktu katastrofalnie nie zerwać. milina” i członka kierownictwa istniejącej jeszcze Polskiej Izby Prze- Oto jeden z takich drobnych przykładów: powiedzialem mu, że uważam myslowo-Handlowej. Wykonując ten rozkaz udało mi się, w granicach ludzkie, by parki i ogrody Warszawy były dla nas zamknięte, możliwości stosunków wojennych, doprowadzić znajomość z Doktorem tylko „nur für Deutsche”; że dzieci polskie w milionowym mieście do pozornej zażyłości. Jeśli, na przykład, chciał kupić kawę lub her- nogą korzystać tylko z ulicy, a tereny zielone mają służyć garstce batę — umożliwiałem mu taki zakup po cenach oficjalnych, czyli pra- „Übermenschen”. Doktor zareagował bardzo charakterystycznie. Od- wie za darmo. W takich i podobnych sprawach (np. skontaktowanie legnat się mianowicie od gestapowskich zarządzeń, jakby gestapo nie z dobrym krawcem dla uszycia eleganckiego garnituru lub zamówienie- go instytucji władzy niemieckiej, do której sam należał, i obiecał in- butów oficerów w specjalisty szewca Marka przy ul. Bielańskiej) telefo- erweniować. Ponieważ rzecz nie miała większego politycznego znacze- nował do mnie do Firmy, a moja sekretarka, pani Olylia Pietrakowa, rzeczywiście interweniował i po kilku dniach otworzono dla Pola- wiedziata, że z „panem doktorem Kah” ma mnie zawsze łączyć. Doktorów Park Ujazdowski, Botaniczny i Skaryszewski.

był Niemcem z dobrej, mieszczańskiej rodziny, znającym się na muzyce. Innym przykładem taktyki Doktora jako członka kierownictwa SD, sztukach pięknych, typowym tzw. Goethedeutscherem, a przecież była więc również kontroli wewnętrznej organów partyjnych, było spotka- oficerem Sicherheitsdienstu, ztem osobliwem niemieckiego uciskuje z hitlerowskim propagandowym pisarzem Dwingere. Nie panie- i hitlerowskiej zbrodnicy w stosunku do Polaków. To, nierzadkiem dokładnej daty, ale chyba wiosną 1941 r., prosił mnie mój „podo- u gestapowców, połączenie amoralności z powierzoną kulturą du- „Ciechny”, wręczając mi książkę Dwingera *Der Blutsonntag von Brom- chową* było czymś, co nas zastanawiało, bo nie znałszy jeszcze tej od- Berg, o jej przeczytanie i krytyczną, obiektywną ocenę. Wspominał przy miany hitlerowców; ale też było czymś, co w całej rozciągłości wykorzysty- ym, że treść wydaje mu się zbyt gorliwie trzymająca się goebbelsow- stywałszy. Tak więc przy wykonywaniu poszczególnych zleceń rozma- kiej Hnit propagandowej, że autor przyjeżdża za kilka dni do Warszawy wiatem z Doktorem o kulturze i sztuce (a znalazłem przecież ze szkoły, on chyba zorganizował wspólne spotkanie, dlatego prosi o przygo- również niemiecką), aby wywołać u niego odruchy życzliwości i „rozlu- kowanie mu obiektywnych uwag. Nie muszę wylizac sterty klanstw- żnienie”, co ułatwiało wyciąganie informacji.

Zasadniczym zaleceniem dla mojego postępowania z Doktorem bydlentschów przez polskich żołnierzy”. Oczywiście Dwingier nie wspo- stosowanie w tych kontaktach następującej taktyki:

— ponieważ Doktor jest jednym z czołowych przedstawicieli wro- Dział za to o toruńskich volksdeutschach pedzonych przez Polaków giego wywiadu, należy stale zaszczeplac mu wątpliwość i niepewność dziesiątkami kilometrów boso po torach kolejowych przez Niezawę w wskazując na nieudaną brutalność i niesprawiedliwość Niemców wo- kierunku na Warszawę i o tym, że po drodze „odstrzelivano” oslablych. bec nas; uprzątamniać mu pogłębiającą się w konsekwencji ich postępo- Wymienit wśród tych ofiar moich byłych kolegów gimnazjalnych, Do- wania nienawisć Polaków do Niemców;

— wywoływać u niego zachwianie poczucia bezpieczeństwa, dawać- katem żywych.

— do zrozumienia, że „siedzi na beczce prochu”;

— uswiadamiac mu, że Niemcy kompromitują się wobec Europy, tak- książe, Doktor zaprosił mnie na kolację do swego mieszkania przy ul. Litewskiej. Zastalem tu Dwingera, któremu zostalem przedstawiony miąc tak bezwzględnie ogólne prawa ludzkie;

— przez częste odwiedzanie Doktora w gmachu przy Alei Szucha zdo- fikcyjnym nazwiskiem jako „życiwy mieszkaniec Warszawy”, pocho- bywać wiadomości o strukturze organizacyjnej i podziale kompetencji- ący z Torunia. W rezultacie rozmowy, po ostrej wymianie zdań, lile-

rat spod sztandaru Goebbelsa przerwał dyskusję i pożegnawszy się chłodno, opuścił nas. Jak później powiedział mi Doktor, wyjechał z Warszawy następnego ranka, a książki, mimo usilnych starań, nie mógł zdobyć do dnia dzisiejszego nawet w antykwariatach.

Ważniejsza w zakresie siamnia defetyzmu była sprawa dzieci z Zagłębia, mojszczyzny. Przypomnę, że były to dzieci, których rodziców zamordowano „w ramach pacyfikacji” wsi wokół Zamościa i które w większość były przeznaczone były do zniemczenia, do „Lebensbornów”, jako „rasowo nieskazitelne”. Część z nich udało się w czasie przewozu przez Warszawę szwazę zimą 1943 r. wykraść z pociągu towarowego na Pradze i ukryć w zakonspirowanych sierocińcach (dwa z nich finansowane były m.in. również przez „Szumilina” i „Plutona”, która to firma była inicjatorem całej akcji). Z polecenia moich przełożonych opowiedziałem Doktorowi o tragicznej sytuacji tych dzieci — sierot, częściowo nawet dwu- i trzyletnich. Doktor uznał, że to niemożliwe, że nie mówię prawdy, przesałam i chciał mieć dowody. Przydzielił mi swojego zaufanego oficera mówiącego po polsku volksdeutscha z Łodzi, Hampla, z którym (on w cywilnym ubraniu) za zgodą moich przełożonych pojechałem do szpitala zakaznego na Ogrodową, jednego z zakonspirowanych sierocińców. Przekonawszy się, że kradzież polskich dzieci jest faktem, Doktor sprawił wrażenie istotnie wzburzonego. Powiedział mi nawet, że złożył Reichsicherheitshauptamt berliński, czyli swoim władzom, notatkę protestującą i mającą rzekomo zahamować dalsze rabowanie polskich dzieci. Nie mogliśmy sprawdzić, czy tak się stało rzeczywiście. Sierocińca z Ogrodowej przeniesiono jednak dla pewności do Konstancji, oczywiście w ścisłej tajemnicy.

Innym przykładem wzbudzenia niepewności w Alei Szucha była sprawa związana z wykonaniem 7 marca 1941 r. wyroku władz podziemnych na zdrójcy — lektorze tygodnika filmowego, Igo Symie. W owym czasie Niemcy ogłosili, że jeśli nie zgłosi się sprawca lub nie zostanie odkryty, rozstrzelają trzydziestu Polaków spośród zakładników aresztowanych w łapankach. Na liście zakładników znalazło się wiele specjalnie wybranych, zasłużonych i znanych osób.

Znałem Igo Syma na początku lat dwudziestych, wówczas adiutantem generała Józefa Hallera. Był zięciem Juliana Fałata: mężem Kuki Fałatówny. Bywał razem z Fałatem u moich rodziców w Toruniu. Miałem albumie rodzinnym jego zdjęcie przy stole w domu rodziców, w mundurze polskiego oficera. Po uzgodnieniu postępowania z przełożonymi przeszedłem z tą fotografią do Doktora i objaśniłem, że my, Polacy, uważamy Igo Syma — byłego porucznika wojska polskiego, a teraz spikera w radiu niemieckim i tygodnika filmowym, wzywającego Polaków do uległości wobec wroga — za zdrójcę. Dlatego rozstrzelanie naszego wy-

bitnych obywateli w odwecie za zlikwidowanie zdrójcy byłoby oburzającym pogwałceniem ludzkich norm moralnych. Dyskusja z Doktorem była długa, burzliwa, ale musiał on zachować pozory i odpowiednio wyciszyć mnie zareagować na określenie „splanii honor oficerski”. W wyniku tej rozmowy gestapo wycofało się wprawdzie ze swoich pogroźek, ale w ich miejsce pojawiło się lakoniczne ogłoszenie o rozstrzelaniu pewnej liczby aresztowanych „bandytów”, który jakoby dla zysku zamordował Syma.

Prócz wspomnianych wyżej przykładów poczyniłem, przy pomocy których próbowałem przez Doktora siać defetyzm w obozie wroga, wyciągałem w rozmowach z nim wiadomości dotyczące funkcjonowania gestapo w rejonie Warszawy. W tej dziedzinie osiągałem efekty głównie dzięki temu, że mogłem dość swobodnie wchodzić do gmachu przy Alei Szucha za przepustką wystawioną przez Doktora. Idąc na Szucha, dla pewności zawsze mówiłem koledze Kruzemu lub sekretarce Pietrzakowej, że idę do dra Kah. Miałem z czasem doskonałe rozeznanie w usytuowaniu urzędów w tych budynkach. Udało mi się przyczynić do odwołania planu gnachy, z rozlokowaniem poszczególnych działów na piętrach, korytarzach. Pozwalało to np. zorientować się niekiedy za aresztowanym żołnierzem naszego Podziemia, jaki dział i który funkcjonariusz prowadzi przesłuchanie, a więc jakie „przestępstwo” jest poddawane aresztowania. A takie rozpoznawanie własnej sytuacji mogło niejednemu dać szansę ucieczki. Tak więc sądzę, że i moje szkice przysłużyły się niejednej akcji związanej z Aleją Szucha, których powodzenie często zaskakiwało i niepokoiło Niemców.

Innym efektem zdobywania wiadomości był mój udział w informowaniu warszawskich władz AK o rozlokowaniu prywatnych mieszkań wielu wyższych urzędników gestapo. Np. zastrzelenie w dniu 1 lutego 1944 r. w Alejach Ujazdowskich dowódcy SS i policji dystryktu „Wahnschau”, Franza Kutschery, było przygotowane częściowo w oparciu o moje informacje o trybie dnia hitlerowca. Jasne, że nie mogłem ich uzyskać w jednej rozmowie z Doktorem, dlatego musiałem rozszerzać moje znajomości na innych oficerów, niższych funkcjonariuszy, w czym niebłądą rolę spełniały paczuski z herbatą i kawą (o gospodarowaniu nielegalnym zapasem herbaty „Szumilina” pisałem w osobnym wspomnieniu). Po kilku tygodniach takich „przygodkowych” rozmów doznałem się „mimoходом” wiele o zwyczajach Kutschery, jego szostki (np. czy zawsze też sam, czy strachliwy itd.), a na podstawie takich różnych szczegółów można było w naszej komórce zrekonstruować

5/11/14

dokładny obraz rozkładu zajęć Kutschery. Podkreślam, że moje rozprawienie było oczywiście tylko częścią całego obrazu, powstałego z raportów różnych komórek, który ostatecznie umożliwił powodzenie tego zamachu.

W gmachu na Szucha miałem również zdobywać wiadomości o poszczególnych formacjach SS na terenie dystryktu warszawskiego. Nie było to łatwe, ale wiadomości o przybyciu nowej formacji, jej dowódcy, o nowych wysokich figurach, przyjęciach dla nich w Belwedze itp., które uzyskiwałem często jako nowinki towarzyskie w rozmowach z Doktorem lub funkcjonariuszami z jego otoczenia, stanowiły elementy, mozolnie przez nas opracowywanej, składanki potrzebnej władzom AK.

Moim bezpośrednim przełożonym był inż. Kazimierz Leski z Drugiego Oddziału Komendy Głównej AK (pseudonim „Bradł”), dyrektor fabryki mebli „Garbatka”, w którego biurze przy ul. Zielnej najczęściej się z nim spotykałem. W biurze tym był mój punkt kontaktowy i miejsce spotkań z współpracownikami Leskiego — Grzybowskiem (pseudonim „Szan”) oraz łączniczką Krystyną Klimaszewską („Krystyna”). Z czasem dowiedziałem się, że podlegamy szefowi kontrwywiadu AK Bernardowi Zakrzewskiemu (pseudonim „Oskar”).

Po pewnym okresie moich kontaktów z Doktorem, mniej więcej po dwóch latach, zaczął on w rozmowach dawać mi czasem do zrozumienia, „między wierszami”, że podejrzewa, iż nie jestem tylko zwykłym dyrektorem handlowej firmy. Również w jego otoczeniu zaczęła wyczuwać pewną rezerwę, jakby podejrzliwość co do jednoznaczności mojej zażyłości z Doktorem. Były to dla mnie i dla moich przełożonych sygnały ostrzegawcze, dlatego polecono mi na pewien okres wycofać się i „spasować”, aby nie doprowadzić do kłopotów. Najistotniejsze było przecież utrzymanie „przyjacielskich” kontaktów z Doktorem. Wziąłem więc urlop, zamieszkałem w Chylicach, a odwiedziny na Szucha ograniczyłem do minimum.

Głównym jednak powodem tej decyzji było pojawienie się na Szuchach w SD nowej postaci, Sturmbannführera SD dra Spilkera. Było to jesienią lub w końcu 1942 r., a poznałem go na kolacji u Doktora, który napomknął mi, że Spilker został ostrzeżony przez gestapo, że Steinborn może być nie tylko zwyczajnym „handlowcem” (potwierdziło to moje wcześniejsze wrażenie, że gestapo zwróciło na mnie uwagę). To dość niezwykle ostrzeżenie mnie przez Doktora znalazło wytłumaczenie nieco później; dowództwo moje dowiedziało się, że Spilker został odkomenderowany z Reichssicherheitshauptamt w Berlinie do Warszawy dla skutecznego rozpracowania polskiego Podziemia, a pewnie też kontroli warszawskiego SD, zatem i dra Kah, który był podejrzany

o brak bezwzględności w stosunku do ludności polskiej. Był więc Spilker i dla Doktora zagrożeniem.

Nim przejdę do rozgrywki ze Spilkerem, który stanowił dla mnie największe niebezpieczeństwo w całej tej grze, przypomnę epizod charakteryzujący moje stosunki z Doktorem. Latem chyba 1942 roku zaprosiłem Doktora (który był smakoszem) w ramach umacniania naszej „zażyłości” do „Dziekanki”, małej polskiej restauracji przy Krakowskim Przedmieściu. Przy takich spotkaniach zjawiał się zawsze w cywilnym garniturze — zgodnie z moim życzeniem na początku naszej znajomości, że jako Polak nie chcę spotykać się w miejscach publicznych z oficerem w niemieckim mundurze — co pewnie i jemu z różnych względów odpowiadało. Kierownikiem czy właścicielem „Dziekanki” był znajomy, dawny właściciel sklepu włókienniczego w Toruniu, a tuż przed wojną kierownik warszawskiej restauracji „Oaza”, pan Kałamajski. Znalazł on nam w przepelnionym lokalu stolik blisko pokoju, który był quasi separatką, i przysiadł się doradzając wybór potraw menu „holenderskiemu gościowi” (tak Doktora przedstawiłem). Kiedy odszedł z zamówieniem, usłyszeliśmy przez uchylone do tego sąsiedniego pokoju drzwi gwar rozbawionego towarzystwa i śpiewy „Sto lat”. Pytam kelnera, co się tam odbywa, ten nie odpowiada. Po chwili wychodzi z separatki członek Delegatury Rządu, przyjaciel mego ojca, Antoni Antczak, dawny redaktor toruńskiego „Głosu Robotnika”. Lekko podchmielony, przysiada się do nas, wyrażając radość ze spotkania. Choć mrugam na niego wskazując, że nie jestem sam, że jestem z obcym — Antczak reaguje jak przystało na zawianego Polaka: „ja wiem, że ten, kto jest w pana towarzystwie, musi być równy chłop”, i klepie Doktora po ramieniu. W obawie przed dalszą wylewnością mówię, że to obcy kupiec, Holender, co zupełnie nie zmniejsza serdeczności pana Antczaka, bo „skoro jest przyjacielem Steinborna, to i moim”. Szczęśliwie osobista potrzeba zmusiła go do odejścia. Doktora oczywiście zaciekało to huczne przyjęcie; odpowiadam, że nie znam powodu, wchodzi jednak pan Kałamajski z wracającym Antczakiem i na pytanie Doktora uprzejmie objaśniają nas, że właśnie obchodzi imieniny wysoka osobistość z naszego Podziemia — szef Delegatury Rządu Londyńskiego, że przyjęcie jest bardzo udane. Można sobie wyobrazić moje przerażenie. Nie obwiniam tych panów, bo nie mogli nawet przypuszczać, że syn Steinborna z Torunia, wielkiego patrioty, może być na kolacji z Niemcem. Kiedy odeszli, zdenerwowany Doktor prosi, bym natychmiast zapłacił rachunek (byłem w takich wypadkach zawsze zapraszającym) i ponagla do wyjścia. Na ulicy wyjaśnił swoje postępowanie: „gdyby wpadł patrol żandarmerii i zaarrestował całe to towarzystwo, pan będzie podejrzany

o zdradę, bo żandarmeria nie będzie przecież tała, że był pan tu z szefem SD. A gdyby chwilowo nikogo nie aresztowano, to ja mógłbym później być słusznie pociągnięty do odpowiedzialności za bagatelizowanie tych imienin". Zaproponował, byśmy posiedzieli gdzieś na kawie ze dwie godziny, aby w razie czego każdy z nas miał alibi.

Wracam do sprawy Spilkera. Po kilkutygodniowej nieobecności wezwano mnie do Warszawy; moi szefowie dowiedzieli się już, że Spilker montuje oskarżenie przeciw Doktorowi. Mam obserwować zachowanie się i reakcję Doktora i w miarę możliwości wzbudzać wzajemną nieufność obu dygnitarzy. Należy odzyskiwać zaufanie Doktora, ale jednocześnie próbować zdobywać zaufanie Spilkera na tyle, by móc obserwować taktykę tych dwu wrogów. Ożywiłem więc znów „stosunki towarzyskie” z Doktorem, równocześnie nawiązując kontakty ze Spilkerem. Ciekawe było dla nas też, czy i jak daleko posuwać się będą ci dwaj nienawidzący się urzędnicy w skaptowaniu mnie do tej rozgrywki.

Zaprosiłem więc któregoś dnia Spilkera do „Dziekanki” roztaczając uroki kuchni pana Kałamajskiego. Spilker przyjął zaproszenie pewnie w nadziei, że będę źródłem informacji o Doktorze, a ponadto; jako wyższy funkcjonariusz niemieckiej służby bezpieczeństwa, dbał o to, by mieć swoje kontakty w kołach inteligencji polskiej. Taktykę tę znaliśmy i wykorzystywaliśmy. W czasie kolacji Spilker wyjawiał swoją osobistą animozję do Doktora, mówiąc, że ma on jakieś niedopuszczalne kontakty ze sferami polskimi, że znany jest Berlinowi z przyjmowania prezentów, a nawet pieniędzy od Polaków. M.in. niejaka Wanda Kronenberg rzekomo wielokrotnie go obdarowywała. Prócz niej wymieniał Spilker jakąś polską hrabinę w Wiedniu, z którą Doktor rzekomo się tam spotykał (później kiedyś sam Doktor wspominał mi o tym).

Wkrótce po tym otrzymałem telefon od Doktora z prośbą, żebym natychmiast przyjechał. Jak zwykle w takich wypadkach, szofer nasz, Wiktor Bielecki, zawiózł mnie do rogu Al. Ujazdowskich i ul. 6 Sierpnia. W swoim gabinecie zdenerwowany Doktor dał mi klucze od swego mieszkania przy ul. Oleandrów (gestapo zajęło cały dom pod numerem 4 na mieszkania swoich funkcjonariuszy) oraz klucze od biurka i objaśnił, że w biurku, w górnej szufladzie po lewej stronie, leży duża brązowa koperta, którą prosi, bym zabrał i przechował. Na moje pytanie, co się stało i dlaczego taki pośpiech i taka niezwykła prośba do mnie, Doktor zapytał, czy nadal uznaję wagę oficerskiego słowa honoru i czy może je ode mnie uzyskać, chociaż jestem oficerem wroga; chce mieć do mnie pełne zaufanie w tak ważnej dla niego sprawie. Oczywiście potwierdziłem wszystko. Wtedy powiedział mi krótko, że ma poufną wiadomość, iż lada chwila, dzisiaj, przeprowadzona będzie z polecenia

Spilker rewizja w jego mieszkaniu i że mu bardzo zależy, aby ta koperta nie dostała się w ręce kontrolującego Sicherheitsdienst. Jasne, że choć ze strachem, podjąłem się tej ryzykownej misji. Poszedłem do mieszkania Doktora, przechodząc z teczką pod pachą możliwie pewnym krokiem koło dyżurnego podoficera w bramie, który mnie znał jako znajomego Doktora. Dalsze niebezpieczeństwo to możliwość natknięcia się na będącą już w mieszkaniu kontrolę lub spotkanie jej przy wyjściu. Nie był jednak nikogo. Znalazłem kopertę w zamkniętym biurku, wepchnąłem do teczki i pojechałem bezpośrednio do „Garbatki” na Zielną, mojego punktu kontaktowego. Wszystkie znajdujące się w kopercie dokumenty sfotografowano. W międzyczasie odwiozłem klucze Doktorowi, zapewniając o bezpiecznym ukryciu koperty; Doktor wyawnie dziękował.

Zawartość koperty okazała się o tyle ważna, że prócz korespondencji z wiedeńską hrabiną były tam meldunki Wandy Kronenberg dla Doktora i kopie jej meldunków dla naszego wywiadu. Mielśmy więc dowody jej podwójnej gry. Chociaż materiały Kronenberg były fantazją, niebezpieczeństwo polegało na tym, że strona polska mogła nie wiedzieć o miejscach spalonych „informacjami” Kronenberg i moglibyśmy z nich przez przypadek korzystać. W kopercie były również materiały — te przede wszystkim ukrywał Doktor przed swym rywalem Spilkerem — mówiące o korzyściach materialnych, jakie za pośrednictwem Kronenberg otrzymywał rzekomo Doktor od hrabiny w Wiedniu. Nie udało nam się nigdy ustalić, jaki charakter miały te „wyплаты”.

Po paru dniach dowiedziałem się od Doktora, że rzeczywiście przeprowadzono u niego rewizję, nie dała jednak spodziewanych efektów, ale że Spilker nie rezygnuje z walki z nim, i dlatego prosił o przechowywanie koperty nadal. Wówczas otrzymałem rozkaz ostrożnego powrócenia w rozmowie ze Spilkerem do sprawy Kronenberg; wyciągnąłem z niego informację, że montuje zarzuty przeciwko Doktorowi, jakoby bazując bezkrytycznie na niesprawdzonych raportach Kronenberg, przesyłał te wiadomości drogą służbową dalej — deformując tym samym rzeczywisty obraz sytuacji w dystrykcie warszawskim. Polecono mi nadal obserwować nastroje Doktora, by w odpowiednim momencie, gdy zdradzi się ze swoim lękiem, „dać mu życzliwie do zrozumienia”, że mogę ewentualnie w tej sprawie mu pomóc. Prowokowałem go więc do dalszych wynurzeń. Na moje ostrożne deklaracje pomocy Doktor powiedział, że domyśla się moich pozahandlowych znajomości i dlatego skłonny jest uwierzyć w realność tej pomocy oraz prosi o nią. Było to z jego strony posunięcie przysłowiowego tonącego wobec brzytwy, bo wiedział, że w najlepszym wypadku mogą go w wyniku nagonki Spil-

3/11/48

kera odkomenderować na front lub do innego miasta, de facto zaś grozi mu dochodzenie, a może i kara śmierci.

Powiadaniając natychmiast o nowej sytuacji moje władze, otrzymałem polecenie zaproponowania Doktorowi dostarczenia materiałów zawierających dowody na rzecz jego obrony. Kiedy późnym popołudniem przedstawiłem mu tę propozycję — prosił, by nie zwlekać, i mimo moich oporów nalegał, żeby zaraz zacząć działać. Dał mi przepustkę nocną i swój samochód z zaufanym szoferem (po te dowody musiałem jechać za miasto). Uprzedziwszy żonę, że pozostanę w Firmie po godzinie policyjnej, wyszedłem o umówionej godzinie przed dom. Zajechał samochód Doktora. Szoferowi wskazałem drogę przez most Poniatowskiego, co go zaniepokoiło, bo „po drugiej stronie jest bardziej niebezpiecznie”. Jechał szybko, na przygaszonych światłach, a w momencie spotkania na moście patrolu niemieckiego dodał gazu tłumacząc, że „nikomu w tej Warszawie nie można wierzyć. Polacy przebierają się w mundury niemieckie i napadają Bogu ducha winnych Niemców, i to właśnie w nocy”. Jeszcze przy odjeździe z Pięknej szofer dał mi, z polecenia Doktora, rewolwer, a po przejechaniu mostu, już z własnej inicjatywy, dodał dwa granaty ręczne. Dojechaliśmy do Anina i zgodnie z wcześniejszym ustaleniem zatrzymaliśmy się na zakręcie szosy, przed torami kolejowymi; podszedł uzbrojony łącznik, któremu poleciłem zostać przy wozie; zdenerwowany szofer prosił, żebym przekazał koledze, by go czasem nie zastrzelił, i żebym prędko wrócił.

Poszedłem do mieszkania „Szana” (był to, jak już wspomniałem, kolega Grzybowski; zginął w Powstaniu w Alei na Skarpie), i tam otrzymałem sprokurowane materiały stanowiące „dokumentację” faktu, że raporty Kronenberg były nieprawdziwe, że próbowała ona pracować „na dwa fronty”, i że Doktor prawdopodobnie świadom był jej mitomanii. Umożliwiło to Doktorowi przedstawienie całej sprawy jako prowokacji. „Szan” i „Krystyna” pożegnali mnie życzeniami powodzenia i pojechaliśmy z trzęsącym się ze strachu szoferem do mieszkania Doktora, który po przejrzeniu dokumentów podkreślił swoją wdzięczność, a to było przecież celem naszej rozgrywki.

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że Doktor zostaje przeniesiony służbowo na wyższe stanowisko komendanta Sicherheitsdienstu całego okręgu wrocławskiego (o ile pamiętam, przy równoczesnym awansie), m.in. chyba dlatego, że zarzuty Spilkera okazały się bezpodstawne. Wygrał więc zdecydowanie (co dla nas było o tyle niekorzystne, że traciliśmy ten kontakt na Szucha), bo przeniesienie się z podminowanej Warszawy — była to wiosna 1944 r. — do odległego od frontu Wrocławia było dla niego gratką.

Skończył się dla mnie etap obserwacji Doktora, zaczął natomiast etap

1944

rozgrywek ze Spilkerem, otrzymałem bowiem rozkaz niewycofywania się „z pola bitwy” i maksymalnego zbliżenia się do Spilkera; chodziło o to, aby nie utracić jednej z możliwości obserwowania, co dzieje się w gmachu przy Al. Szucha. Moja sytuacja stała się o tyle bardziej niebezpieczna, że wiedzieliśmy o podejrzliwości Spilkera w stosunku do mnie i o jego zirytowaniu moimi dobrymi stosunkami z Doktorem. Nie miał jednak punktu zaczepienia aż do dnia, kiedy zdawało mu się, że mnie rozszyfrował.

Było to późną wiosną 1944 r., kiedy Spilker wezwał mnie telefonicznie. Już po oschłym zachowaniu się adiutanta czułem, że atmosfera jest naprężona. Wcześniej, gdy rano jechałem do Firmy, zauważyłem przed domem przy Marszałkowskiej 56 (prawie róg Pięknej, dziś kino „Polonia”) niemiecką „budę”, a w Firmie kolega Kruze potwierdził, że był tam nalot Niemców w poszukiwaniu agenta angielskiego wywiadu. Tylko tyle wiedziałem do chwili telefonu Spilkera, który przyjął mnie bardzo chłodno i bez wstępów powiedział: „Nareszcie rozszyfrowaliśmy pana; mam dowody, jest pan w sytuacji przegranego”. Mimo przerażenia zapytałem możliwie swobodnie, o co chodzi. „Jest pan agentem angielskiego wywiadu”. Moje odezwanie, że bardzo się dziwię, bo sam o tym nic nie wiedziałem, wywołało wybuch złości. „Rutyna i zimna krew teraz nie pomogą, bo ja mam dowody!” Wyciągnął z biurka książkę, którą natychmiast poznałem. Była to wydana w Szwajcarii przed wojną książka Helgi Kern *Das neue Polen* i nie było wątpliwości, że jest moją własnością; Spilker wskazał z tryumfem na wklejony do niej exlibris mojego księgozbioru. Szczęśliwie pamiętałem, że pożyczyłem ją Karolowi Janszowi, właścicielowi majątku Osiny pod Łodzią, o którym wiedziałem, że nie tkwi w żadnej podziemnej robocie. Z jego majątku sprowadzała Firma „Szumilin” liście uprawianej tam dla nas rośliny *Monarda Pulcherrima*, surowca do produkcji namiastki herbaty. Miał kawalerkę właśnie w domu przy Marszałkowskiej 56. Powiedziałem więc Spilkerowi o tym wypożyczeniu książki. Nie wyjaśniło to sprawy, bo interesujące Niemców mieszkanie sąsiadowało tylko z kawalerką Jansza. Zaproponowałem, by sprawdzili prawdziwość mojego zeznania telefonując do Osin. Spilker kazał mi opuścić pokój i czekać. Czekanie trwało ponad dwie godziny. Nie byłem formalnie aresztowany, ale z zachowania dozorującego mnie adiutanta i jakiegoś drugiego oficera wnioskowałem, że jestem w ich rękach, w sytuacji według nich przesądzonej. Wszystko teraz zależało od tego, czy zastaną Jansza w domu i czy będzie pamiętał o pożyczeniu tej książki. Kiedy Spilker mnie wreszcie zawołał, powiedział sucho, że moje zeznanie okazało się prawdziwe i że jestem wolny, dodając: „verläufig”. Mogłem wyjść z budynku.

1/1/20

Dowiedziałem się potem od Jansza, jak to się odbywało u niego. Do Osin przyjechało z Łowicza Überfallkommando, rozsypało się wokół dworku; rozstawili uzbrojone posterunki i zaczęli przesłuchiwać Jansza. Potwierdził on moje wyjaśnienia, a na zapytanie, gdzie książka obecnie się znajduje, wyjaśnił, że pożyczył ją sąsiadowi na tej samej klatce schodowej, oficerowi Wehrmachtu. Dzięki Janszowi straciłem ciekawą książkę, ale jego dobrej pamięci zawdzięczałem uratowanie z opresji. Rzekomy oficer Wehrmachtu, uprzedzony przez którąś z komórek naszego sztabu o obławie, zdołał w porę ulotnić się przez dachy.

Dalsze kontakty ze Spilkerem były coraz trudniejsze. Był coraz bardziej podejrzliwy, a i generalnie zaostrzyła się czujność policji hitlerowskiej. Zbliżał się front wschodni, zbliżało się Powstanie. Spilker, mimo moich wysiłków kierowania „towarzyskiej rozmowy” na sprawy ogólne, powracał do tematu, który w rozmowach z Doktorem kilka razy udało mi się zvekslować i zbyć: mianowicie jakim sposobem strona polska jest tak dobrze zorientowana w rozkładzie i funkcjonowaniu (łącznie z numerami telefonów) niedostępnego jej przecież gmachu na Szucha? Musiałem więc być coraz bardziej ostrożny. Udało mi się jednak w czasie tych ostatnich kilku spotkań uzyskać nieco wiadomości o przygotowaniach Niemców na wypadek Powstania w Warszawie, o gromadzeniu ich wojsk w okręgu warszawskim. Informacje te uzyskiwałem czasem przez Hampla, oficera SD, asystenta Doktora, który szczerze nienawidząc Spilkera, stawał się wobec mnie szczerzy i mniej ostrożny; czasem podsuwał mi je też sam Spilker, pewnie licząc na to, że przekaże je dalej i w ten sposób zastraszy Polaków. Spilker próbował też ode mnie wydoستاć informacje o polskich opiniach, zamierzeniach itp., mając nadzieję, że sprowokuje mnie do uchylenia maski pocziwego „europejskiego” handlowca. Że istotnie miał Spilker takie w stosunku do mnie zamiary, potwierdziło się po wojnie: w znalezionej partii akt warszawskiego gestapo była kartoteka, w której figurowałem jako „verdächtig”, z adnotacją: „nicht verscheuchen”. Jak mi wiadomo, kartotekę tę zniszczono, bo zawierała m.in. wiele informacji o działaczach AK, a były to czasy, kiedy przynależność do Armii Krajowej nie stanowiła najlepszej rekomendacji. Może temu poleceniu „niepłoszenia” zawdzięczam, że nie aresztowany doczekałem Powstania.

Zanim jednak przejdę do okresu Powstania, cofnę się do czasów kontaktów z Kah, do jego interwencji w uwalnianiu Polaków z łap gestapo. Było to niejako ubocznym (choć przecież nie błahym) owocem moich głównych zadań w wilczej jamie. Zaczęło się to od sprawy kuzynki mojej żony — Marychny Pronaszko. z domu Mieszkowskiej, która po wybuchu wojny znalazła się na wschód od linii Bugu i którą chcieliśmy

ściągnąć, wraz z jej córeczką Dorotą, do Warszawy. Była to pierwsza sprawa „prywatna”, którą poruszyłem z Doktorem i która zapoczątkowała całą serię takich uratowań. Doktor obiecał przenieść kuzynkę z obozu zbiorczego po tamtej stronie Bugu do również przejściowego obozu w Łodzi, a z tego obozu rodzina wydobyła ją z córeczką tupetem i łapówkami.

Drugą była sprawa pisarza i historyka literatury Artura Górskiego. Późną wiosną 1940 r. przyszła do mnie jego żona. Razem z mężem bywali w domu moich rodziców, a że w Warszawie nie znała bliżej nikogo, postanowiła poradzić się mnie, jak i gdzie należy złożyć podanie, ażeby uzyskać zezwolenie na powrót męża, który w czasie zawieruchy wojennej został w Wilnie, a więc poza granicami Generalnej Guberni. W najbliższej rozmowie z Doktorem prosiłem go o radę w tej sprawie, mówiąc o Górskim jako o pisarzu i przyjacielu mego ojca. Doktorowi sprawa wydała się czysta i prosta; polecił złożyć na jego ręce odpowiednie podanie. Rzeczywiście rzecz załatwił i po kilku tygodniach Artur Górski zjawił się w Warszawie. Od razu włączyłem go do grona „podopiecznych Szumilina”. Pozostał w stolicy, na Żoliborzu, do końca wojny.

Użyłem określenia „podopieczni Szumilina”, co wymaga następnej dygresji od głównego nurtu moich wspomnień. Założona w 1840 r. firma „M. Szumilin” (której dyrektorem byłem od 1933 roku) funkcjonowała w czasie wojny jako „XXIII Rejonowa Hurtownia Apropowizacji”, zajmując się głównie paczkowaniem i sprzedażą do sklepów żywności racjonowanej przez Niemców na kartki. Już z tego tytułu dysponowaliśmy pewną masą towarową, mianowicie tak zwanym rozkurzem (m.in. oficjalnie przyznanym 1% na manco towarów sypkich). Handlowaliśmy ponadto różnymi namiastkami, jak namiastka kawy, tapioka oraz produkowana w Firmie według mojej technologii namiastka herbaty. Dochody przynosiło też systematyczne i coraz bardziej sprawne wykorzystywanie biurokracji władz okupacyjnych (np. na jedno zezwolenie zakupu i transportu kartkowych mąki i cukru spoza Warszawy dokonywaliśmy kilkakrotnych załadunków). Prócz legalnej działalności handlowej istniała więc pół- i całkowicie nielegalna, która przynosiła nierestrowane dochody, rozdzielane wśród personelu w postaci dodatkowych premii. Nikomu więc z pracowników „Szumilina” nie groził głód, a przede wszystkim mogliśmy dostarczać miastu żywność poza przydziałem kartkowym. Akcja ta była tym potrzebniejsza, że przecież już od wiosny 1940 r. Niemcy planową działalnością zmierzali również do biologicznej likwidacji ludności, a przede wszystkim inteligencji polskiej (nazywało się to „Ausserordentliche Befriedungsaktion”⁷⁾). Firma

⁷ W. Bartoszewski, *Warszawski pierścień śmierci*, Warszawa 1967, s. 33—36.

1/1/92

„Szumilin” bardzo wcześnie zorganizowała stałą pomoc dla osób znajdujących się w ciężkich warunkach (deputaty żywnościowe, czasem skromne, ale stałe zasiłki pieniężne⁸). Z naszej pomocy materialnej korzystali też współpracujący z nami w działalności konspiracyjnej ojcowie kapucyni z ulicy Miodowej. Kontakt utrzymywał ojciec Alfons Ciechański. Podobnie zresztą działały inne firmy warszawskie, jak np. „Pluton”, „Fr. Fuchs”, Fabryka Mebli „Garbatka”, „Bracia Pakulscy”.

✓ Wracam do sprawy ściągnięcia do Warszawy Artura Górskiego przy pomocy Doktora. Kiedy zreferowałem ją moim przełożonym, powstała myśl wykorzystania znajomości z Doktorem w zupełnie innej dziedzinie, mianowicie ratowania ludzi z rąk gestapo, z obozów czy więzień. Na marginesie więc służbowego kontaktu z Kah powstało pole działalności nie związane z kontrwywiadem. Stałem się niejako adwokatem, któremu czasem udawało się ratować ludzi z opresji gestapowskich. Przełożeni polecili mi podjąć próbę zainteresowania Doktora sprawą jednego z aresztowanych wojskowych, osoby, na której im bardzo zależało. Nazwiska nie pamiętam. Przedłożyłem Doktorowi sentymentalną prośbę, że jest to mój znajomy z lat dziecińczych itp., że bardzo mi zależy na jego zwolnieniu. I ten przypadek udał się: dzięki interwencji Doktora ów oficer odzyskał wolność. Po tej udanej próbie podejmowałem następne; tak więc weszło w zwyczaj, że do moich zadań należało i staranie się o ratowanie ludzi z niemieckich więzień.

Zastanawialiśmy się, dlaczego Doktor względnie często spełniał moje prośby, bo przecież nie z powodu rzewnych historyjek, które każdorazowo mu opowiadałem. Wydaje się, że i w tych sprawach odgrywała pewną rolę moja znajomość psychiki Niemców: uderzałem mianowicie w struny zmuszające go do pozowania na „Goethedeutschera”, kulturalnego, szlachetnego Niemca, który — jeżeli może — okazuje pokonanemu wrogowi łaskę. Robił więc to ze względów propagandowych, zwłaszcza że nie były to osoby ważne dla gestapo, a raczej ich ważności nie był świadomy. Pewne, choć nie rozstrzygające, znaczenie miała dla Doktora i korzyść materialna płynąca z załatwiania różnego rodzaju spraw, mianowicie możliwość „zakupienia” czarnorynkowej kawy i herbaty po śmiesznie niskich oficjalnych cenach. Oczywiście najtrudniej było mi przemycić do szeregu wydobywanych z więziennych opresji „najbliższych przyjaciół i krewnych” te osoby, na których zależało naszym władzom wojskowym, bo przy staraniach o nie trzeba było być szczególnie ostrożnym (np. najpierw wywiedzieć się, co Niemcy o nich wiedzą). Wśród zwolnionych tą drogą około 75 osób byli oprócz Akow-

⁸ O szczegółach tej działalności por. „Rocznik Warszawski” XV, 1979, s. 372.

ców przedstawiciele życia kulturalnego, jak pisarz Adolf Nowaczyński, malarz Antoni Suchanek i jego rodzina, kompozytor Bolesław Woytowicz, dyrektor z Zarządu Miasta Marian Drozdowski, członkowie dyrekcji „Społem”: Jasiński, Fularski, Wutkówna, oraz naturalnie moi znajomi, jak działacz społeczny z Podkowy Leśnej Janusz Regulski, Antoni i Jadwiga Nowakowscy, Izabella Rogozińska, Eleonora Makowska, bratanek mojej żony Emil Mieszkowski.

Powracam teraz do okresu, na którym skończyłem relacjonować sprawę Spilkera, do dni przed wybuchem Powstania. Jak na początku wspomniałem, z racji funkcji w kontrwywiadzie miałem zakaz walki z bronią. Zakazu tego nie odwołano przed Powstaniem, o którego tragicznym finale byłem raczej przeświadczony, między innymi na podstawie uzyskiwanych i przekazywanych przełożonym wiadomości o zgromadzeniach wojsk niemieckich w czerwcu i w lipcu 1944 r., obejmujących Warszawę łukiem od zachodu. Nie wiedziałem, jak postąpić. Przełożeni nie wydali żadnego rozkazu, a tylko uważali, że nie powinienem być w mieście. Mieszkaliśmy wówczas, usunięci z naszego domku w Chylicach, we wsi Łęczyca k/Klarysewa. Jednakże świadomość, że Warszawa będzie się biła i walczyła, spowodowała, że rano 1 sierpnia (znałem i ten z kolejno wyznaczanych terminów), pożegnałem się z żoną i dziećmi i pojechałem do „Szumilina”.

W Warszawie tego dnia przed południem krążyły sprzeczne wiadomości o rozkazie rozpoczęcia, to znów o przesunięciu terminu Powstania. Obserwowaliśmy w Firmie (przypominam adres: Miodowa 25) z kolegami ciągnące na miejsce zbiórek grupy: było ok. godziny 15. Nagle usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny od strony Żoliborza, a za chwilę niemiecki żandarm polowy, regulujący ruch niemieckich kolumn wojskowych u wylotu Miodowej na plac Krasieńskich, został przez cywilnego mężczyznę cofającego się w głąb Miodowej zastrzelony z pistoletu. Stało się to przyczyną chaotycznej strzelaniny na placu Krasieńskich i tym samym poniekąd początkiem Powstania w tym rejonie. Już ok. godziny 16 ulica Miodowa została z obu końców zablokowana przed Niemcami przez samorzutnie budowane przez ludność barykady.

W Firmie znajdowali się tylko ci mężczyźni, którzy z takich czy innych powodów nie dotarli na miejsce swych zbiórek; kobietom wydałem dwa — trzy dni wcześniej polecenie nieprzychodzenia do pracy; wtedy też wydzieliliśmy z zapasów Firmy porcje żywności dla wszystkich rodzin pracowników i poleciłem wypłacić z góry trzymiesięczną pensję. Do nas dołączyło kilku mężczyzn, którzy się tu znaleźli i nie mogli już przedostać się do swoich oddziałów czy rodzin, m.in. adwokat Jan Makowiecki, Teodor Sobczak, Antoni Nowakowski. Razem z Bolesławem

Kruzem zorganizowaliśmy tę grupkę mężczyzn, która pod naszym kierownictwem pracowała przy zabezpieczeniu zabudowań Firmy od pożaru (worki z piaskiem na strychach, zgromadzenie i rozstawienie sprzętu przeciwpożarowego itp.). Pracowaliśmy przy budowie barykad od strony placu Krasiniskich, której trzonem były dwa przewrócone tramwaje i płyty chodnikowe. Jakiś inżynier, może saper, od razu pokierował pracami ziemnymi, tj. wykopaniem gniazd dla uzbrojonych czujek przed barykadą, z polem obstrzału placu i ogrodu Krasiniskich. Barykada była oparta od strony północnej o budynek na rogu Miłodowej, a komunikacja z ulicą Długa została skierowana przez bramy i powymym krancau barykady pozostawiono wąskie przejścia dla pieszych wykopie prowadzącym poza drugą barykadę, zamykając północny koniec tej ulicy Długiej.

Pierwszą noc spędziłem w moim gabinecie na zsuniętych fotelach, później sypialni w bezpiecznym miejscu — na workach w magazynie piwnicznym, w którym była kuchnia. Bo „Szumilin” przy Miłodowej włączył się od razu w organizację życia powstańczego, i zapasy żywnościowe, jakie były w Firmie, postanowiłmy przetrzymać na urzędzie w piwnicy połowej kuchni dla okolicznej ludności. Prowadził ją żona magazyniera Firmy Romana Krellera. Nieco później urządzono w piwnicach budynku frontowego szpitalik, będący jakby filią szpitala położowego działającego w budynku na rogu Długiej i Miłodowej. Po dwóch tygodniach w budynku na placu Krasiniskich opowiadałem żonie niektórych epizody powstaniowe, przyłączyła się do nas jakaś starsza kobieta. Mieszkała ona w czasie Powstania przy Miłodowej i uzupełniała wspomnienia, opowiadając również o „Szumiline” jako firmie tak barwej, do pomocy w żywieniu okolicznych mieszkańców; przyznała, że „był tam dyrektor energiczny i wielkiego serca” — o czym słuchałem ze wzruszeniem i pewną satysfakcją.

Sprzęt kuchenny wzięliśmy z małej restauracyki, mieszczącej się w domu, oraz z restauracji prowadzonej w sąsiedztwie (pokeronrem 23). W obydwu wypadkach okazało się, że właściciele i część personelu byli volksdeutschami i z chwilą wybuchu Powstania znikli; przyspuszczam jednak, że dwaj bracia właściciela restauracji pod nrem do Polaków z ukrycia na dachach, strychach itp.), którzy nas nekali otrzymaniu bowiem meldunku, że z dachów domów nr 23 i 25 strzelajukryci Niemcy — przeszukaliśmy strychy i znalazłem święco przebieg przejsięcie z jednego strychu na drugi, a kolo niego i pod okienkami chowymi na zakurzonej polapie liczne ślady butów. Jedna z kucharek

tej restauracji oskarżyła mnie i Kruzego o volksdeutschostwo, chcąc odwrócić uwagę od siebie. Przeprowadzone na mój wniosek przez sierżanta Kedywu Kazimierza Balarego i Antoniego Nowakowskiego dochodzenie ujawniło, że już wcześniej restauracja była w rękach volksdeutschów, którzy w czasie okupacji mieli polecenie obserwowania najej Firmy (okno pokoju gościnnego restauracji wychodziło na podwórzei „niehandlowych” poczynań). Balary odprowadził kucharkę do kucheny AK na Starówce.

W pierwszych dniach Powstania przeprowadziliśmy lub opiekowaliśmy się (głównie Nowakowski i Makowiecki) osobami, które wskutek chaosu organizacyjnego w dniu rozpoczęcia Powstania nie zdążyły dotrzeć do domów. Nie dotarł np. do swego zgrupowania Al. nasz mędy Wiktor Bielecki; w tych dniach ciągłego zagrożenia powiedział, że od szeregu lat jest członkiem Komunistycznej Partii Polski. Pragnęliśmy, że w czasie całej wojny był absolutnie lojalny wobec Firmy, „szumilnowskich” Akowców, a w okresie stalinowskim, kiedy byłem cztermi latami więziony, pomagał żonie w kompletowaniu paczek w imieniu szefa Akowców „Szumilina” w czasie Powstania. Nowakowski prowadził sprawy porządkowe i przeciwpożarowe. Sobczak miał poręczony nasłuch radiowy, zorganizowany w dawnym magazynku na III piętrze; przez niego notowane biuletyny przekazywałyśmy do Wydziału Propagandy i Prasy Powstańczego Zarządu w budynku przy Miłodowej nr 23. Były to wszystkie nasze samowolne działania, bo nie stanowiliśmy przeciw żadnej oficjalnej formie współpracy, a tylko poszczególni mężczyźni byli jej żołnierzami. Organizacja była jednak w taki nieoficjalny oddział, chcieliśmy przeciw włączyć się do walki, mimo że nie mieliśmy nawet broni, bo ta składowana w schowkach Firmy właśnie przed Powstaniem rozwieszona została do zgrupowań. Dorywczo dysponowało nami dowództwo „Starówki”. O ile wiem, podobne sytuacje zaistniały w firmach „Fuchs”, „Pluton” i pewnie wielu innych.

Przyjmy teraz dwa epizody niewojskowe, charakterystyczne od najlepszej strony życia powstańczego, ale staram się dla prawdy historycznej odnotować wszystko, co pamiętam. Któregoś dnia zaroiło się na podwórzu Firmy od młodzieży w „panterkach”, właśnie zdobytych w wojskowych magazynach na Stawkach, w euforii zwycięstwa. Grupa od młodzieży w „panterkach”, właśnie zdobytych w wojskowych magazynach na Stawkach, w euforii zwycięstwa. Grupa od młodzieży w „panterkach”, właśnie zdobytych w wojskowych magazynach na Stawkach, w euforii zwycięstwa. Grupa od młodzieży w „panterkach”, właśnie zdobytych w wojskowych magazynach na Stawkach, w euforii zwycięstwa.

opanować i już wspólnie ułożyliśmy plan szkolenia młodzieżowych kandydatów na kierowców, na który musieliśmy przystać i w który włączyłem furgonetkę i „instruktora” Wrotka. „Szkolenie” polegało na próbach przejechania Miodową do Kapucyńskiej, następnie przez Podwale Rynek Starego Miasta i z powrotem. Oczywiście takich jazd szkoleniowych mogło odbyć się zaledwie kilka, bo i barykady, i strzelaniny Niemców uniemożliwiały te rajdy. Był to absurdalny pomysł stworzenia grupy „zmotoryzowanego transportu”, nie uwzględniający sytuacji walki w mieście.

Innym „urozmaiceniem” tych trudnych dni było zjawienie się w Firmie grupy pijanych młodych ludzi, wykrzykujących, że są formacją Afiarów, oberwałem. Niegroźną ranę zsztytło klanrami, a w kilka dni potem (choć za dwóch czy trzech miało na ramieniu opaski AL), i agresywnie żądających wydania im trzech młodych zapasów win z piwnic „Szumilina”. Ogromnie trudno mi było im wytłumaczyć, że „Szumilin” nie ma nic wspólnego z firmami winno-kolonialnymi, jak „Bracia Pakulscy” i „Rago”, zorientowałem się bowiem, że napaść jest — czy miała być — dalszym ciągiem poczynań „zdobywczych” tych młodych ludzi, którzy odkryli składnice „Rago” na tyłach domu Miodowa 7 (9?) albo na Krakowskim Przedmieściu.

Do tragicomicznych obrazków, które zapamiętałem, należał też widok kobiety z dwoma wiadrami wody, chowającej się za cokoł latarni ulicznej (mniej więcej na wysokości domu firmy „Fuchs”). Jedną z bomb utworzyła mianowicie tutaj z rurociągu ulicznego coś w rodzaju studni artezyjskiej, z której korzystali mieszkańcy Miodowej. Kobieta po nabraniu wody była ostrzeliwana przez niemieckiego strzelca wybojowego z drugiego piętra domu między Kozia a Miodową (restauracyjk Duwała), który przez dłuższy czas nie pozwalał jej wychylić się zza latarni. Obswobodzili ją dopiero powstańcy, którzy zaczęli wysuwać z bramy „Fuchsa” różne „cele”, jak np. kij ze szmatami i melonikier i sprowokowali Niemca do zmiany kierunku ognia.

Inne — wzniosłe — wspomnienie to ranna msza św. w kościele Kapucynów, obok Firmy. Odprawiał ją zakonnik o imponującej siwej brodzie. Nagły natot na Miodową, gwizd i huk bomb nie zdołały przerwać spokojnego celebrowania mszy św., choć większość zebranych skryła się w piwnicach kościoła. Może i ja uciekłbym, ale nie bardzo wypadłabym bo znalazłem celibransa. W czasie okupacji bowiem „Szumilin” pozostał w ścisłym kontakcie z klasztorem, gdzie również znajdował się magazyn broni, i który był Akowską „skrywką kontaktową”. Firma wspierała klasztor deputatami żywnościowymi. W 1940 roku, po niespodziewanej rewizji w klasztorze, Niemcy wywieźli kilkunastu zakonników do obozów koncentracyjnych. Sześciu ocalało składnice w klasz-

torze musiały więc zostać zlikwidowane, przy czym pomagają oczywiście i Firma.

Ani wtedy w kościele Kapucynów, ani później szczęśliwie nie został ranny. Drasnął mnie tylko w czole odłamek pocisku armatniego. Stało się to wtedy, gdy Niemcy z Krakowskiego Przedmieścia opanowali tam wyłot ulicy Senatorskiej i z ustawionego przed kościołem św. Anny działa strzelali w stronę placu Krasieńskich. W tym czasie zaczęła się palić od bomby fosforowej dom na rogu Długiej i Miodowej, na którego tyłach były zakopane zbiorniki z benzyną. Pospieszaliśmy więc

z pomocą do ratowania zalogi i do wymontowywania broni pokładowej. Wyszły na pasach pilot-Anglik był jeszcze, wyszeptał tylko „caution”, z największym go do szpitala na rogu Długiej. Strachem go potem z oczu. Prócz tych różnych zadań o charakterze obrony cywilnej, które speł-

niałszy z kolegami w Firmie, chroniąc, jak mogliśmy, powstańców, straszliwe słońce, zagaśniali ostatecznie wszystkie istniejące jeszcze pomieszczenia „Szumilina”. Brak wody, światła, wszędzie obecny dym i pożarów, brak nawet prymitywnych warunków sanitarnych w tym nieludzkim natoku — wszystko to było powodem zdarzających się coraz częściej załamów psychicznych, stale wybuchających krzyków rozpaczliwych od gnębionych ludzi. Zryte lejami bombowymi, pełne gruzu i swądów podwórze nie mogło zwiększyć obszaru tego koczowiska, a ulica, znajdująca się przecież na skraju Starówki, nie różniła się stopniem zniszczenia od całej dzielnicy. Zapamiętałem szczególnie jedną z takich jaskrawych od pożarów nocy (było to chyba w połowie sierpnia), kiedy plac Krasieńskich otoczony był morzem płomieni, a na Miodowej palił się ciąg domów (m.in. nr 19, 21, 23) — bo wtedy otrzymaliśmy z dowództwa

mieszkańców dzielnicy, włączono mnie do służby łącznikowej pod komendą Bolesława Krużego i pełniłem funkcję oficera łącznikowego i zwiadowczego Dowództwa AK „Starówka”.

Pierwszy rozkaz dotyczył nawiązania kontaktu z formacją na Wolę (zgłosił się tam u wspomnianego już porucznika Romana Kiznego w budynku pralni „Asko” przy ulicy Chłodnej), by dowiedzieć się, jak przedstawia się ich sytuacja bojowa i dokąd — w wypadku wycofania się — zamierzają się przesuwać. Po powrocie otrzymałem następnę polecenie: w grupie z Krużem i Nowakowskim oraz dwiema łączniczkami mieliśmy iść na Powązki. Chodziło o zwiad trasy planowanego połączenia z formacjami w Puszczy Kampinoskiej (w poprzek torów kolejowych linii okrężnej, na wysokości Powązek). Trasą tą miały się połączyć ugrupowania Starówki z formacjami mającymi przybyć z Kampinosu — aby przelamać pas niemieckiego oblężenia w strefie na północny zachód od Dworca Gdańskiego. Nasza misja na Powązki nie udała się, między innymi dlatego, że ze względu na technicznych (przez tor nie mógł być przejeżdżać, a kanały w tej dzielnicy były od czasu powstania w Getce zasypane brukowcami) mogliśmy się porozumiewać tylko przez łączniczkę, która miała lokalną przepustkę niemiecką. Uniemożliwiałoby to praktycznie zgranie taktyki działań. Istniała też — niepojęta dla mnie — rozbieżność zdań dowódców. Wróciliśmy bez odpowiedzi na propozycję współdziałania.

Przygłębiało mnie podejrzenie, że w chwili takiego zagrożenia dowódca odcinka kieruje się może względami prestiżowymi; upewnieniem się w nim, gdy rozkazano mi ponownie dotrzeć na Żoliborz, bezpośrednio do tamtejszych formacji „Żywiela”. Szedłem wówczas wytrasowa-

do Starego Miasta (w okolicach torów na zachodnim odcinku Dworca Gdańskiego przejście takie, gdyby było dobrze zorganizowane, było możliwe), dowództwo żoliborskie nie w pełni jednak współdziałało i akcja nie powiodła się.

Był koniec sierpnia, kiedy napór Niemców stłumił już opór na Starym Miście; nie miałem po co tam wracać. Tu, na Żoliborzu, Akowcy nie należący do tamtejszych ugrupowań nie byli włączani do akcji i — tragicznie to przyznać — znalazłem się bez żadnego przydziału, bezczynny. Nie byłem odosobniony — w podobnej sytuacji znalazło się wielu mężczyzn. W dyskusjach bezradni, przygnębieni, doszliśmy do wniosku, że należy się udać do Kampinosu, by walczyć dalej w formacjach poza wsią mknącą Warszawą. Uznaliśmy, że każdy musi przedsięwziąć się na własną rękę. (Przejście całą grupą było niemożliwe, bo Żoliborz otaczały wojska niemieckie i formacje ukraińskiej brygady kolaboracyjnej, od Dworca Gdańskiego. Nasza misja na Powązki nie udała się, między innymi dlatego, że ze względu na technicznych (przez tor nie mógł być przejeżdżać, a kanały w tej dzielnicy były od czasu powstania w Getce zasypane brukowcami) mogliśmy się porozumiewać tylko przez łączniczkę, która miała lokalną przepustkę niemiecką. Uniemożliwiałoby to praktycznie zgranie taktyki działań. Istniała też — niepojęta dla mnie — rozbieżność zdań dowódców. Wróciliśmy bez odpowiedzi na propozycję współdziałania.)

Dla ścisłości tych wspomnień dodaję, że mimo rozpaczliwej sytuacji wyleśka Powstania rysowała się wyraźnie) i przygnębienia naszą bezsilnością, ani przez chwilę nie wąpliśmy w ostateczne zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami. Np. w czasie jednej z dyskusji „co robić” — z panami Antczakiem (członek Delegatury Rządu) i drem Zdzisławem Dandelskim (pehnomócnikiem Rządu na przyszykane odczytane ziemi Prus Wschodnich) — zaproponowali mi oni najważniejszej, w imieniu Dele-

któregoś dnia nad ranem spotkałem na ul. Tucholskiej, w czasie nalo-
Ktoś z nich, pisarza Czesława Centkiewicza, znajomego z hiercerstwa. Omawia-
naszą niewyjściową sytuację wyraził również on zdanie — poglądy,
Warszawie skończyła się i grozi wszystkim niewola lub obóz, ale Kraj
W Warszawie skończyła się i grozi wszystkim niewola lub obóz, ale Kraj
W Warszawie skończyła się i grozi wszystkim niewola lub obóz, ale Kraj

W Warszawie skończyła się i grozi wszystkim niewola lub obóz, ale Kraj
W Warszawie skończyła się i grozi wszystkim niewola lub obóz, ale Kraj
W Warszawie skończyła się i grozi wszystkim niewola lub obóz, ale Kraj

11127

i obsługa karabinu maszynowego przy bunkrze pozwolili mi podejść bliżej, krzycząc tylko: „O co chodzi, kim jesteś?” Zawołałem po niego, że jestem cywilem i chciałem mówić z ich dowódcą. Jakiś feldfebel zaprowadził mnie do kapitana Wehrmachtu, starszego wiedeńszczyka (co poznałem po akcencie), któremu powiedziałem, że jestem cywilem, że Powstanie zaskoczyło mnie na Żoliborzu, że rodzina jest po Warszawie, koło Piaseczna, gdzie zostawiłem żonę i „drobne dzieci” bez opieki i pieniędzy. Byłem w ubraniu bardzo zniszczonym (choćby przejeżdżając kanałami), ale to nie podpadło, gdyż tak wyglądali wówczas wszyscy mieszkańcy Warszawy, a na plaster na czole nasunąłem czapkę Niemiec dobrodusznie i wyjątkowo ławowiernie przyjął moją powiastkę, pewnie dlatego, że — jak powiedział — „mit diesem Krieg habe ich auch die Nase voll”, że „Polacy przegrali swoją małą wojnę, ale Niemcy przegrali tę dużą, której losy są już przesądzone”. Moim dalszym losem kierował przypadek. Niemiec bowiem, pozwoiliwszy mi odejść, wrócił do rodziny, zawołał, gdy uszedłem kilka kroków, i ruchem ręki kazał wrócić. Serce mi zamarło, lecz ku mojemu zdziwieniu słyszę: „pa wspomnij o Piasecznie; akurat ciężarówka idzie w tamtą stronę, może się pan nią zabrać”. Nie mogłem oponować, by nie wzbudzić podejrzeń. Zostałem więc podwieziony jak baran do stacji kolejki elektrycznej w Opaczu.

Moment wysadzenia mnie przez Niemców na pustej stacji w Opaczu był dla mnie momentem zwrotnym, momentem załamania. Gdy ciężarówka odjechała, podszedłem do zabudowań mieszkalnych, aby się dowiedzieć, co w ogóle słychać z tej strony Warszawy, jakie są wiadomości o sytuacji Powstania. Dowiedziałem się wtedy, że praktyczna walka w Puszczy Kampinoskiej zamarła; usłyszałem też o wściekłym terrorze i o zorganizowanym przez Niemców obozie dla ludności cywilnej w sąsiednim Pruszkowie; o gwałtach i mordowaniu ludności cywilnej w Boernerowie przez formację Kamińskiego; o łapankach w okolicach Warszawy. Powiedziano mi też, że linia frontu ustaliła się mniej więcej wzdłuż szosy Warszawa — Góra Kalwaria, i że ludność z miejscowości położonych na wschód od niej jest wysiedlana na zachód. Powstała więc obawa zgubienia się z rodziną przebywającą koło Klarysewa.

Wtedy zdecydowałem się iść do Chylic. Powstanie Warszawskie nie miało już żadnych szans; moja pesymistyczna od początku ocena tych szans wobec olbrzymiej dysproporcji uzbrojenia stron walczących sprawdzała się tragicznie dla miasta. Z drugiej strony, wojna nie była skończona i byłem przeświadczony, że czekają mnie dalsze zadania i kontrwywiady. A więc obowiązuje mnie nadal zakaz walki zbrojnej. Rozważywszy to wszystko i z najwyższym niepokojem myśląc o rodz

nie, ruszyłem wieczorem na przełaj w kierunku południowo-wschodnim. Przenocowawszy u odważnego sołtysa wsi Gorzkiewki, niedaleko Okęcia, dobrnąłem następnego dnia koło 7 rano do szosy na Górę Kalwarię, a następnie do szosy Piaseczno — Chylice. Na drodze spotkałem znajomą z Chylic, od której dowiedziałem się, że rodzina wróciła z Łęczycy do Chylic, gdyż Niemcy w panice przed zbliżającym się frontem opuścili wszystkie zajmowane wille.

Idąc do Chylic, z daleka zobaczyłem żonę z młodszą córeczką i bratankiem żony (mieszkał u nas uciekinier ze Świdra, szwagier z rodziną), spieszących na niedzielne nabożeństwo do kaplicy we wsi. Radość spotkania po przeszło miesiącu niepewności, czy żyjemy, trudno ująć w słowa. Poszliśmy razem na mszę św., a żona mi powiedziała, że właśnie wczoraj o godzinie 10.00, a więc kiedy byłem w „Blaszance” — odbyła się w tej kaplicy msza św. na moją intencję. Tej niedzieli zakończył się mój rozdział powstaniowy.

Po kilku dniach, zgodnie z moimi przypuszczeniami, dowództwo nawiązało ze mną kontakt przez łącznika z Komorowa, dokąd zgłosiłem się natychmiast i zostałem ponownie włączony do dotychczasowej służby. Okres, który teraz nastąpił, trwał aż do stycznia 1945 r. Po różnych zadaniach wykonywanych na odcinku południowej Warszawy, m.in. prowadzeniu nasłuchu radiowego dla redakcji gazetek, zostałem odkomenderowany do Częstochowy, do Sztabu Obszaru Zachodniego AK, jako oficer do zleceń. W połowie grudnia 1944 r. zorganizowałem, niestety, nie bardzo udany, wyjazd żony z dziećmi do bezpiecznego Poronina. Sam byłem skoszarowany w Częstochowie i pełniłem różne, raczej kwatermistrzowskie, funkcje przy sztabie.

Jednym z ciekawszych zadań było przedostanie się na ziemie należące jeszcze do Reichu, a więc nie oswobodzonego Pomorza i Poznańskiego. Wysłano mnie tam w listopadzie 1944 r. wraz z kolegą mec. Edmundem Borzyszkowskim jako oficerów łącznikowych dla rozpoznania sytuacji działających na Pomorzu formacji naszego ruchu oporu. Istniało też podejrzenie prowokacyjnej działalności Niemców wokół tych oddziałów. Trasa, którą wyznaczono, prowadziła przez punkt graniczny w Herbach w kierunku zachodnim, ponieważ wiedzieliśmy, że „nasz znajomy” dr Kah jest nadal we Wrocławiu i liczyliśmy, że ułatwi nam legalne przekroczenie granicy Rzeszy. Udałem się więc do częstochowskiego gestapo i przedstawiając się jako dobry znajomy Standartenführera Kah we Wrocławiu, poprosiłem o połączenie telefoniczne dla omówienia pewnej sprawy osobistej. Niemcy, jak najczęściej w takich wypadkach, dali się zwieść mojemu tupefowi i połączyli mnie z Wrocławiem. Ryzyko tego telefonu polegało nie tyle (czy nie tylko) na zgłoszeniu się w ge-

1/11/29

stapo w czasie, gdy ich niepokój i napięcie zwiększały nieobliczalność ich terroru, ale przede wszystkim na tym, że nie wiadomo było, czy Doktor w ogóle przyzna się do znajomości ze mną, Polakiem. Na szczęście, Doktor po rozmowie ze mną polecił przez telefon odpowiedniemu funkcjonariuszowi wydać przepustkę graniczną dla Steinborna i jego towarzysza podróży.

Wyekwipowano nas m.in. w ryzykowne, bo zdradzające, zrzuć swetry z golfami i ciężkie buty angielskie, ale w owym czasie nie był innego ekwipunku. Do bagażu, który zabierałem, należała m.in. krótko falówka dla Dowództwa Okręgu Pomorskiego AK, którą trzeba było dostarczyć ks. kapelanowi Wryczy w Borach Tucholskich (ks. Wrycza był również przyjacielem mego ojca). Zapakowano mi ją w typowe pudło do jajek, ułożywszy odpowiednio na jej spodzie, pod warstwą jaj w teksturowych przegródkach, całą aparaturę.

W ten sposób, uzbrojeni w gestapowskie przepustki, ruszyliśmy w podróż spokojnie, choć podczas kontroli bagażu na granicy w Herbach przeżyliśmy chwilę strachu, gdy kontrolujący Niemiec zapytał o zawartość skrzyneczki i mimo odpowiedzi wyjaśniającej, kazał ją otworzyć. Z pierwszej warstwy wyjął zawinięte w gazetę jajko, zajrzał nieco głębiej (nie wiem, dlaczego powąchał jajko), ale na tym szczęśliwie poprzestał. Dojechawszy do Wrocławia, mieliśmy na dworcu dziwne zdarzenie: mianowicie z tłumu wysiadających wyłowił nas jakiś kolejarz niemiecki, przekazał innemu, a następnie jakaś Niemka (już bez kolejarzy) wyprowadziła nas z dworca bocznymi przejściami, przez tory kolejowe na stronę zaplecza i magazynów, wyjaśniając szeptem, że dworzec jest obstawiony. Jedynym wytłumaczeniem tej zakonspirowanej pieczy nad nami byłoby to, że ci kolejarze byli antyhitlerowcami, którzy w jakimś powiązaniu z polskimi czynnikami mieli informacje o naszym przyjeździe (rozpoznać nas mogli w czasie długiej podróży), a zorientowawszy się, że jest obława — zdecydowali się nas ochronić. Nie dowiedzieliśmy się jednak niczego od naszych opiekunów, bo kobieta, wyprowadziwszy nas na miasto, natychmiast odeszła bez słowa.

Z hotelu niedaleko dworca, „Vier Jahreszeiten” (obecnie nazywa się „Europejski”), który zgodnie z obietnicą zarezerwował dla nas Doktor zadzwoniłem do niego. Z zachowania służby hotelowej zorientowałem się, że jest to hotel „pod opieką” gestapo; gośćmi byli zresztą oficerowie i funkcjonariusze SS. Pomyśleliśmy, że w takim otoczeniu, jako zwykli cywile, będziemy i my, i nasz bagaż szczególnie kontrolowani, i dlatego po otrzymaniu pokoju wróciliśmy na spokojny już dworzec i zdeponowaliśmy skrzyneczkę z „jajkami” w przechowalni. (Przed dalszą podróżą odebraliśmy nasz trefny bagaż za pośrednictwem jakiegoś chłopca rewanżując się papierosami.)

Podczas spotkania z Doktorem, w jego siedzibie przy dzisiejszej ulicy Kutnowskiej, podałem raz jeszcze jako cel naszej podróży odwiedzenie w Toruniu matki staruszki, o której wiedział on jeszcze w Warszawie, gdyż umożliwił mi uzyskanie zezwolenia na przesyłanie jej co miesiąc do Torunia pieniędzy na życie (300 marek po oficjalnym kursie 100:100); była tam sama, w trudnych warunkach. Mecenas Borzyszkowski mówił również o odwiedzeniu swoich rodziców w Toruniu. Doktor przyjął tłumaczenie za dobrą monetę. W rozmowie przy herbacie „lamentował” nad zniszczeniem Warszawy (typowy „kulturalny” Niemiec, okłamujący samego siebie, że nie jest współwinny również i tragicznego losu stolicy i jej mieszkańców). Obciążał tym formacje ukraińskie RONA i Brygadę Dirlewangera (formację rekrutującą się z kryminalistów).

Z Wrocławia, zaopatrzeni znów w przepustki od Doktora, pojechaliśmy w kierunku Torunia via Poznań. W Toruniu szczęśliwie zobaczyłem matkę po czteroletniej rozłące. Nie miała tam łatwego życia, odkąd odmówiła zgłoszenia się na Reichs-, a „przynajmniej” Volkslistę. Dwa pokoje w jej mieszkaniu zarekwirował wojskowy Luftwaffe, nie zawsze obecny w dzień, co pozwoliło jej stworzyć u siebie miejsce spotkań miejscowych działaczy pod pozorem udzielania lekcji języka niemieckiego. Skrzyneczkę z krótkofalówką zdeponowaliśmy w najbezpieczniejszym miejscu, to jest pod łóżkiem hitlerowca, który w ten sposób spędził kilka nocy nad naszym instrumentem walki z Niemcami.

Zgodnie z poleceniami nawiązałem w Toruniu odpowiednie kontakty dla zasięgnięcia języka (najwszechstronniejszymi informatorkami były panie Anna Swoińska z domu Kirmes, Maria Piskorska i Alina Krynówna). Instruowaliśmy ugrupowanie AK „Gryf” (major Ostryhański, pseudonim „Rudolf” z przedwojennego 3 p.a.c.), przekazując wszystkie rozkazy, m.in. aby nie przyłączać się do żadnej innej organizacji. Oprócz Torunia byliśmy jeszcze w Bydgoszczy i w Grudziądzu, gdzie uzyskaliśmy informacje i trafiliśmy na trop prowokatorskiej organizacji „Orla Białego”. Prowokatorem był przedwojenny zawodowy ogniomistrz artylerii, niestety z mojego Torunia, który stworzył tę rzekomo polską organizację, i wszyscy jej członkowie stopniowo wpadali w ręce gestapo. Udało nam się szeroko o tym ostrzec Polaków. Sam już zwizytowałem miejsce postoju dowództwa AK we wsi Wiele w Borach Tucholskich, a kapelanowi Wryczy przekazałem połowę radiostacji.

Powrót z Pomorza prowadził przez Poznań i Opole, gdzie w nocy, w pociągu, złapał nas nalot aliancki na torach kolejowych. W południe następnego dnia zdołaliśmy jednak wylądować w Herbach. Odetchnęliśmy po przekroczeniu granicy. Nie wracaliśmy przez Wrocław, by uniknąć znalezienia się w zasięgu Doktora, gdyż nigdy nie byłem całko-

J/1/31

wicie pewien, na ile uważa mnie za „niewinnego cywila”. Co, na przykład, powodowało nim, że wystawił „glejt” również na Borzyszkowskiego? Czy nie miał wobec mnie przez cały czas podobnych planów, jakie ja realizowałem wobec niego? Czy więc nie zechce ze mną podjąć teraz ostatecznej rozgrywki?

Inne zadanie z mojego okresu częstochowskiego związane było z przeniesieniem Sztabu Komendanta Obszaru Zachodniego „Sławbora” na teren Bydgoskiego, Częstochowa bowiem oczekiwała wkroczenia wojsk radzieckich i sztab generała Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” miał się wycofać w kierunku Łodzi, a następnie Bydgoskiego.

Była to późna jesień 1944 r. Z Kuluszek mieliśmy z moim bezpośrednim przełożonym, inż. Kazimierzem Leskim, pójść w kierunku Skiernewic, gdzie Leski miał zlecenia do wykonania. Stamtąd mieliśmy się przenieść do Okręgu Bydgoskiego, dokąd mnie wysyłano — ze względu na znajomość terenu — w roli kwatermistrza. Tak też się stało, tyle, że po konferencjach Leskiego w Skiernewicach musieliśmy jeszcze w Milanówku zmienić nasze dokumenty na nowe falsyfikaty. Wykonano fotografie zmieniające twarz (jak w odbiciu lustrzanym) i przygotowano fałszywe kennkarty. Moja opiewała na nazwisko Adama Salaka.

W drodze do Bydgoszczy (przez Kutno, Inowrocław — na lorach towarowych — kolej funkcjonowała tylko częściowo) zatrzymaliśmy się w Toruniu. W mieszkaniu matki zastałem brata, Witolda, który przez kilku godzinami właśnie zjawił się po powrocie z Oflagu II C Woldenberg, zamknięty tam przez całą wojnę. Na drugi dzień pojechaliśmy z Leskim do Bydgoszczy. Zająłem się zleconym mi organizowaniem kwater, do których jakiś czas potem przenieśliśmy Komendanta i Sztab Obszaru Zachodniego. Po uwolnieniu miasta od Niemców zacząłem rozglądać się za pracą. Zgłosiłem się do pierwszej grupy operacyjnej władz PRL na województwo bydgoskie, do mecenasa Bolesława Kulikowskiego, i wybrałem dział pracy, który najbardziej lubiłem (choć nigdy go nie uprawiałem zawodowo), mianowicie bibliotekarstwo. Wstąpiłem więc do Instytutu Bałtyckiego, który właśnie organizował w Bydgoszczy jego przedwojenny kierownik — dyrektor Józef Borowik, dobry znajomy ojca. Mogłem go dlatego wtajemniczyć, że muszę jeszcze nazywać się Adam Salak, bo takie mam dokumenty. Zostałem przyjęty do pracy.

Pobyt mój w Bydgoszczy trwał tylko kilka tygodni. W tym czasie dyskutowałem z moimi wojskowymi przełożonymi (Leskim i „Sławborem”, czyli płkiem Szczurek-Cergowskim) o naszej, Akowców, sytuacji. Byłem zdania, że po oswojeniu kraju dalsza moja praca w kontrwywiadzie AK nie ma racji bytu. Bez jakichkolwiek trudności z ich strony zostałem zwolniony z moich funkcji. Na zakończenie wojennej służby

otrzymałem awans na kapitana i odznaczony zostałem Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami (rozkaz Komendanta Obszaru Zachodniego z 1 I 1945 r.) za służbę w kontrwywiadzie AK.

Tak zakończyła się służba wojskowa. Dekonspiracja Adama Salaka nastąpiła nieco później. Pewnego dnia, podczas wizytacji przeprowadzonej przez dyr.dep. z Ministerstwa Żeglugi Morskiej, Wojnara, dyrektor Borowik przedstawił mnie — ku memu przerażeniu — prawdziwym nazwiskiem. A były to czasy, kiedy aresztowania Akowców nie należały do rzadkości. Obecna przy tym sekretarka dyrektora, pełniąca równocześnie funkcję kierownika kadr, o której się mówiło, że jest pracowniczką Urzędu Bezpieczeństwa, spojrzała na mnie z uważnym zdziwieniem. Uznałem za wskazane natychmiast po wizycie dyrektora Wojnara wyjść z Instytutu, spakować na kwaterze rzeczy i zniknąć z Bydgoszczy. Jeszcze tego wieczoru wsiadłem w pociąg do Krakowa, a stamtąd furmanką (mosty kolejowe były przez cofających się Niemców zerwane) pojechałem do rodziny do Poronina. W czasie tej, po raz pierwszy od długiego czasu spokojnej i wręcz sielskiej podróży, jadąc truchcikiem w cudownej przyrodzie i przy wiosennej, kwietniowej pogodzie, podarłem na strzępki lewą „kenakartę” Salaka (nie zapomniałem zabrać ze schowka w Bydgoszczy mojej prawdziwej). Tak więc na Wielkanoc 1945 r. połączyłem się z rodziną po raz trzeci od początku wojny, po dłuższej rozłące. Chciałem żonę i dzieci zostawić nadal w Poroninie, a sam wrócić do Warszawy i rozejrzeć się za pracą, ale żona nie zgodziła się na ponowną rozłąkę i po kilku dniach ruszyliśmy furmanką do Krakowa. Tam starsza córka została w internacie Sióstr Urszulanek (w Warszawie szkoły dopiero organizowano), z młodszą i synkiem pojechaliśmy „okazyjną” ciężarówką do Chylic (mieszkanie na Pięknej było zdemolowane — brakowało jednej ściany zewnętrznej — a wyposażenie rozszabrowane).

Wkrótce znowu podjąłem dawną pracę kupca-handlowca, jako współprowadzący w Warszawie firmę „Transactor”. Odtąd mogłem już nie zmieniać masek. Bo chociaż zmuszony do przerwy w pracy (więzienie w latach 1949—1953) oraz po okresowej zmianie zawodu, po rehabilitacji (1957) wróciłem do handlu zagranicznego i jestem zawsze tym samym — acz dużo starszym — Adamem Steinbornem, który od młodości starał się naśladować swego ojca. Dobrego fachowca i świadomego patriotę.

grudzień 1975 r.

1/1/33

Adam Steinborn, wspomnienia lat 1939-1945.

Maszynopis wspomnień spisany około 1980r. W 1982 na początku roku autor zmarł. Pochodził ze znanej patriotycznej rodziny toruńskiej. Jako oficer rezerwy wziął udział w konspiracji Armii Krajowej jako oficer ds. specjalnych II Oddziału KG AK. Działał na odcinku stosunków towarzyskich i innych z oficerami policji i Gestapo w Warszawie. Pod pseudonimem "Odra" podlegał bezpośrednio Kazimierzowi Leskiemu pseudo "Bradł" pośrednio pułk. "Sławborowi".

Wspomnienia niewolne są od błędów. Także dziwi sformułowanie na s. 24 sugerujące, iż autor jest przekonany, że to Niemcy byli sprawcami Katynia.

Istotny dla mnie następujący iragment wspomnień na s. 54-57 : autor po Powstaniu nie poszedł do niewoli lecz działał w Częstochowie w Komendzie Obszaru Zachodniego AK.

"Wysłano mnie w listopadzie 1944r. wraz z kolegą mec. Edmundem Borzyszkowskim jako oficerów łącznikowych dla rozpoznania sytuacji formacji naszego Ruchu Oporu, działających na Pomorzu. /.../ Do bagażu, który zabierałem należała m.in. krótkofalówka dla Dowództwa Okręgu Pomorskiego AK, którą trzeba było dostarczyć s. kapelanowi Wryczy w Borach Tucholskich/ks. Wrycza był również przyjacielem mego ojca./.../ Zgodnie z poleceniami nawiązałem w Toruniu odpowiednie kontakty dla zasięgnięcia języka/najwszechstronniejszymi informatorkami były panie Anna Swońska z domu Kirnes, Maria Piskorska i Alina Krynowna/. Instrukowaliśmy ugrupowanie AK "Gryf" /major Ustrychański, pseudonim "Rudoli" z przedwojennego 8 IACu /przekazując wszystkie rozkazy, m.in. aby nie przyłączać się do żadnej innej organizacji. Poza Toruniem byliśmy jeszcze w Bydgoszczy i w Grudziądzu, gdzie uzyskaliśmy informacje i trafiliśmy na trop prowakatorskiej organizacji "Orza Białego". Prowokatorem był przedwojenny zawodowy ogniomistrz artylerii, niestety z mojego Torunia, który stworzył tę, rzekomo polską organizację, i wszyscy jej członkowie stopniowo wpadali w ręce gestapo. Udało się nam szeroko o tym ostrzec Polaków. Sam już zwizytowałem miejsce postoju dowództwa AK we wsi wiele w Borach Tucholskich a kapelanowi Wryczy przekazałem polową radiostację."

1/1/34

ADAM STEINBORN, TORUNCYK, OFICER KONTRWYWIADU

W ramach spotkań Klubu Historycznego działającego przy Fundacji "Archiwum Pomorskie Armii Krajowej" doc. dr Krystyna Podlaszewska przedstawiła sylwetkę oficera kontrwywiadu z czasów II wojny światowej, Adama Steinborna (1903-1982). Pochodził on ze znanej toruńskiej rodziny i był synem lekarza Ottona Steinborna i Heleny z domu Kawczyńskiej, działaczy niepodległościowych przed 1920 rokiem, a społeczno-kulturalnych za polskich czasów. Adam ukończył w 1921 roku gimnazjum toruńskie, co dało mu dobrą znajomość języka, kultury i obyczajów niemieckich, z domu rodzinnego natomiast oraz działalności w tajnej polskiej organizacji filomatów i harcerstwie - wyniósł ducha narodowego i zrozumienie służby dla dobra społecznego.

W okresie międzywojennym mieszkał w Warszawie, gdzie w 1925 r. ukończył Wyższą Szkołę Handlową, a w 1928 r. Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii w Grudziądzu ze stopniem podporucznika rezerwy. Od 1926 r. pracował w Krajowej Hurtowni Herbaty "Szumilin", której dyrektorem został w 1938 roku. Po uczestnictwie w kampanii wrześniowej, m.in. jako komendant stacji kolejowej Chełm Lubelski, udało mu się uciec z niewoli i powrócić do Warszawy. I tutaj rozpoczął się najciekawszy, a równocześnie najniebezpieczniejszy okres jego życia.

Firma "Szumilin", przekształcona w Rejonową Hurtownię Apropowizacyjną, którą kierował Adam Steinborn, stała się nielegalnym lub półlegalnym dostawcą żywności dla osób pozbawionych środków do życia, m.in. przesiedleńców z Wielkopolski i Pomorza, osób ukrywających się, rodzin więźniów obozów jenieckich i koncentracyjnych, mieszkańców getta itp. Nadwyżki żywnościowe uzyskiwano dzięki umiejętnemu gospodarowaniu tzw. "rozkurzem", czyli oficjalnie przyznanym pewnym procentem strat przy paczkowaniu sypkich artykułów, a także kilkakrotnym zakupem artykułów żywnościowych na jednorazowe zezwolenie władz niemieckich. W magazynach

3
1/1/35

"Szumilina" istniał ponadto zamaskowany magazyn broni AK, a sprzęt tejże firmy służył niejednokrotnie przy różnych akcjach polskiego podziemia.

Sam Adam Steinborn został - najprawdopodobniej już wiosną 1940 roku - zaprzysiężony jako oficer do specjalnych poruczeń Wydziału Kontrwywiadu i Bezpieczeństwa Oddziału II Komendy Głównej Armii Krajowej. Głównym jego zadaniem było utrzymywanie kontaktu z oficerem SS, szefem Wydziału Sicherheitsdienst czyli wywiadu partyjnego, dr Ernstem Kah'em. Dzięki swej dogłębnej znajomości języka niemieckiego oraz psychiki i mentalności Niemców, prowadził Steinborn delikatne i często niebezpieczne rozmowy, w których starał się zaszczepić swemu rozmówcy poczucie niepewności, siac defetyzm, a równocześnie zdobywać różne informacje ważne dla polskiego podziemia, takie jak: organizacja poszczególnych jednostek policji niemieckiej, ludzie tam pracujący, zakres i metody ich działania, powiązania między nimi, charakterystyka, miejsce zamieszkania itp. Działalność swoją prowadził Steinborn aż do wybuchu powstania warszawskiego, w czasie którego jako oficer łącznikowy i zwiadowczy został skierowany na Wolę, na Powązki i wreszcie kanałami na Żoliborz. Ponieważ udało mu się uniknąć niewoli, został jesienią 1944 roku przez dowódcę AK, gen. Okulickiego, "Niedźwiadka", wyznaczony na oficera do zleceń w Sztapie Obszaru Zachodniego AK. W związku z tą nową funkcją podróżował do Torunia, Bydgoszczy, Grudziądza i w Bory Tucholskie.

Po wojnie wrócił do pracy w handlu zagranicznym, został jednak w listopadzie 1949 r. aresztowany przez UB i zwolniony dopiero 10 lutego 1953 roku. Po rehabilitacji w 1957 roku mógł ponownie wrócić do swego zawodu. Zmarł 12 marca 1982 roku i został pochowany w Warszawie na Starych Powązkach.

Krystyna Podlaszewska

1/2. Dokumenty - Steimbom Adam

1. Rozkazy Komendanta Obszaru Zachodniego z 1.01.1945 w sprawie odsużenia Statym Koytem zastugi z mieszami i awansu - kserokop. oryg. z Arch. Akt Nowych czas z listem przewodnim z 24.02.1994 do ówiat. W. Zbt. AK Okr. Bydg. i piśmieu Henryka Wiesobskiego do Fundacji z 24.02.1995, mprisy kserokop. oryg. i oryg.

lc. 4 o. 1-5



312/1

ARCHIWUM AKT NOWYCH

ul. Hankiewicza 1
02-103 Warszawa

Światowy Związek Żołnierzy
Armii Krajowej
Okręg. Bydgoszcz
ul. Konarskiego 1-3
85-066 Bydgoszcz

Wasze pismo z dnia:
1994 02 18

Znak:
125/Żbik/94

Nasz znak:
IV 820-203/94

Data:
1994 03 24

Archiwum Akt Nowych przesyła w załączeniu kserokopię dokumentu przechowywanego w AAN pod sygnaturą Armia Krajowa 203/II-2.k.30. Pozostałych dokumentów wymienionych w piśmie nie odnaleziono.

Zał. 1

Nr Rep. 578/94

Kierownik Oddziału IV
Udostępniania
Archiwum Akt Nowych

mgr Janna Borowska

WH/LS

Fax 23-00-42, telefony: 22-52-45, 23-00-42 (sekretariat, dyrektor), 23-15-73 (informacja dla interesantów, udostępnianie), 23-60-80 (informacja naukowa), 49-49-15, 49-51-06 (nadzór archiwalny), 23-34-84 (opracowanie zasobu), 22-22-46 (gromadzenie zasobu), 23-10-30 (konserwacja i reprografia), 22-50-00 (księgowość), 23-42-70 (kadry), 22-50-44, 23-10-32 (administracja).

K.O. Klucz
1.100/I.
Data 1.I.1945

Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju

Preres

1/12/2
30

Za wybitne zasługi w konspiracji i w walce z Niemcami przedstawiam do odznaczenia Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami:

L.p.	stopień i starsz.	pseudonim:	data urodz.:	od kiedy w konsp.:	przydział funkcja:
1.	ppor. rez. art. 1930	Tucholczyk	30.V.1903	XI.1939	Of. łącznikowy K.O. Klucz
2.	ppułk. art. 1938	Piorun	2.IV.1897	1941	Kmdt. O. Luneta
3.	Mjr. rez. piech.	Stanisław	3.III.1897	1939	Szef II. K.O. Luneta
4.	Mjr. Zaw. piech.	Kamień	1902	1939	Szef Sztabu K.O. Luneta
5.	ppłk. rez.	Aleksander	1897	1939	Kmdt. Obw. K.O. Luneta

Proszę go awansować do stopnia kmdt. obszaru Klucz

Marszałk z dniem 1.I.45.

/Sławbor/
Dziurka - Cergowski Jan

K.O. Klucz
1.100/I.
data 1.I.1945

Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju

Przedstawiam do awansu oficerów pełnowartościowych i zasłużonych w konspiracji i w walce z Niemcami:

L.p.	stopień i starsz.	pseudonim:	data urodz.:	od kiedy w konsp.:	przydział funkcja:
<u>do stopnia pułkownika</u>					
1.	ppułk. art. 1938	Drwal	1.II.1914	IV.1941	Szef III. K.O. Wagon

pers. wstąpił do oddz. 7. plm z warunkiem na francuzów.

<u>do stopnia kapitana</u>					
1.	por. zaw. piech. 1942	Drwal	1.II.1914	IV.1941	Szef III. K.O. Wagon

<u>do stopnia porucznika</u>					
1.	ppor. rez. art. 1930	Tucholczyk	30.V.1903	XI.1939	Of. łącznikowy K.O. Klucz
2.	ppor. rez. piech. 1933	Mieczysław	4.V.1908	VIII.1942	Insp. K.O. Wagon
3.	ppor. rez. piech. 1937	Ksawery	4.IV.1914	VIII.1943	Insp. K.O. Wagon
4.	ppor. rez. piech. 1936	Karol	19.V.1909	X.1941	Z-ca Kmdt. Plac. K.O. Wagon
5.	ppor. rez. piech. 1938	Henryk	2.VIII.1913	VIII.1942	Kmdt. Obw. K.O. Wagon
6.	ppor. rez. piech. 1937	Soból	1914	1940	D-ca partyz. K.O. Luneta
7.	ppor. piech. 1937	Grab	1914	1942	D-ca partyz. K.O. Luneta
8.	ppor. piech. 1939	Paweł	1918	1940	Kmdt. Obw. K.O. Luneta
9.	ppor. rez. sap. 1932	Zbik	20.II.1905	1942	Kmdt. Obw. K.O. Luneta

Komendant obszaru Klucz

Marszałk z dniem 1.I.45.

/Sławbor/

Niedziwiasek
(gen. Leopold Plebicki)

verteba 41

1/2/3

Archiwum Akt Nowych zaświadcza zgodność
drugostronnej reprodukcji z dokumentem
przechowywanym w zespole (zbiornik) a

sygn. 203/11-2 Warszawa, dnia 1903/16



Kierownik Oddziału IV
Udostępniania
Archiwum Akt Nowych

mgr Janina Borowska

Nr Rep. 578/94

Świątobliwy Związek
Żołnierzy Armii Krajowej
OKRĘG BYDGOSZCZ
85-066 ul. Kolarska 109 S
Tel. 23-40-11 w. 533
Konto w PHO Oddział w Bydgoszczy
nr 9511-58-000-102

L.dz. ...⁹⁵Żbi/95

Bydgoszcz, dnia 24 lutego 1995 r.

Wpłynęło dnia 28.02.95
L.dz. 332/A/95

Fundacja
Archiwum Pomorskie AK
ul. Wielkie Garbary 2
87-100 T o r u ń
=====

W nawiązaniu do umowy przeprowadzonej 22.2.95 związanej u przeszeregowaniem i odznaczeniem Adama Steinborna przesyłamy w załączeniu kserokopię pisma Archiwum Akt Nowych w Warszawie wraz z rozkazem podpisanym przez "Niedźwiadka" z prośbą o przekazanie pani docent K. Podleszewskej.

W załączonym dokumencie "Tucholczyk" występuje jako oficer łącznikowy K.O. Klucz.

zał. 2

Przyjm. Okręgu
[Signature]
inż. Henryk Niesobski

K.O. Klucz

1. loc/I.

Data 1.I.1945

Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju

Preres

*1/125
30*

Za wybitne zasługi w konspiracji i w walce z Niemcami w odstawieniu do odznaczenia Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami:

Lp.	stopień i starsz.	pseudonim:	data urodz.:	od kiedy w konsp.:	przebieg i funkcja:
1	ppor. rez. art. 1930	Tucholczyk	30.V.1903	XI.1939	Of. łącznikowy K.O. Klucz
2	ppulk. art. 1938	Piorun	2.IV.1897	1941	Kmdt. O. Luneta
3	Mjr. rez. piech.	Stanisław	3.III.1897	1939	Szef II. K. Luneta
4	Mjr. Zaw. piech.	Kamich	1902	1939	Szef Sztabu Luneta
5	ppor. rez.	Aleksander	1897	1939	Kmdt. Obw. K.O. Luneta

Proszę go awansować do stopnia kmdt. obszaru Klucz

Marszałk z dniem 1.I.45. /Sławbor/

K.O. Klucz

1. loc/I.

Data 1.I.1945

Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju

Jan Sasunek - Lergowski

Przedstawiam do awansu oficerów pełnowartościowych i awansowanych w konspiracji i w walce z Niemcami:

Lp.	stopień i starsz.	pseudonim:	data urodz.:	od kiedy w konsp.:	przebieg i funkcja:
-----	-------------------	------------	--------------	--------------------	---------------------

do stopnia pułkownika

1.	ppulk. art. 1930	<i>pers. Władysław do celów...</i>			
----	------------------	------------------------------------	--	--	--

do stopnia kapitana

1	por. zaw. piech. 1942	Drwal	1.II.1914	IV.1941	Szef I. K. Luneta
---	-----------------------	-------	-----------	---------	-------------------

do stopnia porucznika

1	ppor. rez. art. 1930	Tucholczyk	30.V.1903	XI.1939	Of. łącznikowy K.O. Klucz
2	ppor. rez. piech. 1933	Mieczysław	4.V.1908	VIII.1942	Insp. K.O. Wagon
3	ppor. rez. piech. 1937	Ksawery	4.IV.1914	VIII.1943	Insp. K.O. Wagon
4	ppor. rez. piech. 1936	Karol	19.V.1909	X.1941	D-ca partyz. K.O. Wagon
5	ppor. rez. piech. 1938	Henryk	2.VIII.1913	VIII.1942	Kmdt. Obw. K.O. Wagon
6	ppor. rez. piech. 1937	Soból	1914	1940	D-ca partyz. Luneta
7	ppor. piech. 1937	Grab	1914	1942	D-ca partyz. Luneta
8	ppor. piech. 1939	Paweł	1918	1940	Kmdt. Obw. K.O. Wagon
9	ppor. rez. sap. 1932	Żbik	20.II.1905	1942	Kmdt. Obw. K.O. Wagon

Komendant obszaru Klucz

Marszałk z dniem 1.I.45.

Niedziwiavel /Sławbor/ (gen. Olszicki Leopold)

11. Materiały uzupełniające relacje -
- Steimborn Adam

1. Anna Zakrewska, biogram Steimborn Adam², [w:] Słownik biograficzny konspiracji pomorskiej 1939-1945, Toruń 1994, t. 1, s. 197-198, kserokop. k. 2 s. 1-3
2. Krystyna Podkoźna, biogram „Steimborn Adam Feliks Romau”, [w:] Słow. biograficzny Pomorza Nadwiślańskiego, pod red. Zbigniewa Nowaka, Gdynia 1997, t. 4, s. 266-268, kserokop. k. 1 s. 3-4
3. Kazimierz Leski, Życie niewolnicze wroźmianowce, t. II, s. 164-166; 182-184, kserokop. k. 7 s. 5-12

Steinborn Adam ps. "Odrawąż", "Tucholczyk", "Toruńczyk", przybrane nazwisko Adam Salak (1903-1982), wywiadowca Oddz. II KG AK, oficer do zleceń Kdy Obszaru Zachodniego.

Ur. 30 V 1903 r. w Toruniu; syn Ottona - lekarza i Heleny z d. Kawczyńskiej, znanych i zasłużonych działaczy niepodległościowych i społecznych w byłym zaborze pruskim i w międzywojennym Toruniu. Ukończył Gimnazjum im. M. Kopernika w Toruniu uzyskując maturę w 1921 r., a następnie Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie, gdzie w latach 1927-1930 był asystentem. W 1926 r. podjął pracę w Krajowej Hurtowni Herbaty "Szumilin", której od 1938 r. do wybuchu wojny był dyrektorem. W latach trzydziestych pełnił również wiele funkcji w organizacjach zawodowych. Jeszcze jako uczeń gimnazjum brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. W latach 1926-1928 ukończył Szkołę Podchorążych Rez. Artylerii w stopniu ppor. W tym też czasie ożenił się z Janiną Mieszkowską.



Zmobilizowany w sierpniu 1939 r. do służb transportowych został kmdtem stacji kolejowej Chelm Lubelski, która we wrześniu 1939 r. stała się węzłową stacją dla transportów rządowych do Rumunii. Po jej zbombardowaniu przez samoloty niemieckie, przedostał się do Lwowa, a następnie 9 października do Warszawy. Tu włączył się do prac nad uruchomieniem polskich organizacji gospodarczych. Za zgodą władz niemieckich pozostał nadal dyr. firmy "Szumilin", głównie dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego. Firma ta, przekształcona w Rejonową Hurtownię Apropowizacyjną nr XXIII, prowadziła działalność konspiracyjną: zdobywała i rozdzielala przydziały żywności dla Polaków, użyczala szmochodów do akcji dywersyjnych, ukrywała broń.

W listopadzie 1939 r. Steinborn, za pośrednictwem płka J. Królikowskiego wstąpił do SZP, a w maju 1940 r. został dodatkowo zaprzysiężony na oficera do specjalnych poruczeń ps. "Odr" (skrót od "Odrawąż"). Jego zwierzchnikiem był Kazimierz Leski ps. "Bradł", kierownik Wydz. Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu w II Oddz. KG AK. Zgodnie z wytycznymi sztabu, wykorzystując przymusową znajomość z komendantami niemieckiej policji bezpieczeństwa na dystrykt warszawski (najpierw ze Standartenführerem dr E. Kahem, a następnie ze Sturmbannführerem dr Spilkocem), zdobywał informacje o strukturze organizacyjnej i podziale kompetencji całego aparatu niemieckiej policji, o funkcjonowaniu gestapo w rejonie Warszawy, o rozlokowaniu prywatnych mieszkań poszczególnych gestapowców. Dzięki tym kontaktom udało mu się odtworzyć plan siedziby gestapo przy al. Szucha i uratować z rąk policji, z obozów i więzień kilkudziesięciu Polaków.

W czasie Powstania Warszawskiego Steinborn pełnił funkcję oficera łącznikowego i zwiadowczego Dowództwa AK "Starówka". M.in. wykonał zwiad trasy planowanego połączenia tego zgrupowania z formacjami w Puszczy Kampinoskiej i trasy Żoliborz - Stare Miasto, w celu współdziałania obu zgrupowań. W połowie września został ponownie włączony do służby w kontrwywiadzie, którą pełnił do stycznia 1945 r. Przez krótki okres prowadził nasłuch radiowy dla tajnej prasy, następnie został oficerem łącznikowym Kdy Obszaru Zachodniego pod dowództwem płka Jana Szczurka-Cergowskiego ps. "Sławbor". W listopadzie 1944 r. Steinborn ułatwił nawiązanie, przerwanej po licznych aresztowaniach na Pomorzu, łączności KG AK z Okręgiem Pomorze w celu ustalenia stanu działających tu

*Słow. biograficzny konspiracji 197
pomorskiej 1939-1945, Wyd. Bibl. FAPAK
t.v Toruń 1984, s.1*

11/12

formacji podziemnych i rozpoznania działań niemieckich wokół tych oddziałów. Nawiązał kontakty w Toruniu, Bydgoszczy i Grudziądzu. Wspólnie z E. Borzyszkowskim ps. "Józef" wykrył prowokacyjną, rzekomo polską grupę "Orzeł Biały" i przeprowadził akcję ostrzegawczą wśród Polaków. Wg wspomnień własnych Steinborn przekazał dowództwu TOW GP instrukcje, rozkazy KG AK oraz radiostację polową. Zwizytował oddz. partyzanckie AK w Borach Tucholskich. Wkrótce potem, wspólnie z Leskim, wówczas szefem sztabu Kdy Obszaru Zachodniego, pod przybranym nazwiskiem Adam Salak przyjechał powtórnie na Pomorze w celu przygotowania terenu i zakwaterowania sztabu Obszaru.

Po wyzwoleniu Bydgoszczy z niemieckiej okupacji, zwolniony przez Cergowskiego i Leskiego ze służby w kontrwywiadzie, podjął pracę jako bibliotekarz w Instytucie Bałtyckim, organizowanym na nowo przez dr J. Borowika. Jednak wobec groźby aresztowania porzucił ją wiosną 1945 r., wyjechał z Bydgoszczy najpierw do Krakowa, a wkrótce potem do Warszawy. Tu pod prawdziwym nazwiskiem rozpoczął dawną pracę jako kupiec i handlowiec w firmie handlu zagranicznego "Transactor". W latach 1946-1949, a także w latach sześćdziesiątych wykładał w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie oraz na Wyższym Studium Języków Obcych przy UW. W latach 1949-1953 był więziony przez władze PRL jako żołnierz AK. Zrehabilitowany w 1957 r. powrócił do pracy w handlu zagranicznym. Ostatnio do 1980 r. pracował w przedsiębiorstwie "Metalexport". Zmarł w Warszawie 12 III 1982r.

APAK, T.: Steinborn A.

Księga Pamiątkowa 400-lecia Toruńskiego Gimn. Akademickiego, t. 3, Warszawa 1974, s. 299-301; Leski K., *Życie niewłaściwie urozmaicone*, Warszawa 1989; *Okr. Pom. w dok....*, s. 163 (tu jako Tucholczyk).

Anna Zakrzewska

STEINBORN Adam Feliks Roman, przybrane nazwisko Adam Salak, pseud. Odr (1903-1982), handlowiec, działacz niepodległościowy. Ur. 30 V w Tor. jako syn lekarza Ottona i Heleny z d. Kawczyńskiej, znanych działaczy pol. Miał starszego brata Witolda i młodszą siostrę Bognę. W 1908-21 uczęszczał do gimn. toruńskiego, równocześnie ucząc się konspiracyjnie czytać i pisać po pol. u p. Miecznikowskiej. Ok. 1917 organizował wspólnie z kolegą Jerzym Piskorskim na terenie gimn. tajne trzyosobowe grupy samokształceniowe w zakresie hist. i literatury pol., włączone później do międzygimnazjalnego Tow. Tomasza Zana, zwanego w skrócie TTZ. Wszedł też do władz tajnego koła TTZ w gimn. toruńskim. Gdy w 1917 powstała w Tor. pierwsza na Pom. drużyna harcerska im. T. Kościuszki, wstąpili do niej obaj bracia S-owie, a Adam zorganizował wkrótce zastęp gimn., przekształcony jesienią 1918 w harcerską drużynę gimn. im. Zawiszy Czarnego. W 1920 brał udział w wojnie pol.-bolszewickiej. W 1921-5 studiował w Wyższej Szkole Handl. w W-wie, a w 1927-30 był tamże asystentem. W 1926 ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii w Grudz., a w 1928 został mianowany ppor. rez. Od 1926 pracował w W-wie w Krajowej Hurtowni Herbaty „Szumilin”, której dyr. został w 1938; równocześnie pełnił liczne funkcje społ. w organizacjach handl. 25 VIII 1939 został zmobilizowany z rozkazem objęcia stanowiska komendanta stacji kolejowej Chelm Lubelski. Po jej zombardowaniu, nieudanych próbach połączenia

5.266

Słownik biograficzny Pomorska
Nadwiślańskiego, pod red. Zbigniewa
Nowaka, Gdańsk 1997, t. 4
s. 266-268

się ze swym pułkiem i ucieczce z niewoli S. wrócił do W-wy. Jesienią 1939 wstąpił do Zw. Walki Zbrojnej (ZWZ). Jako kierownik firmy „Szumilin”, przekształconej w Rejonową Hurtownię Apropowizacyjną nr XXIII, wspólnie ze swymi współpracownikami — również członkami ZWZ, nast. Armii Krajowej (AK) — zorganizował pomoc żywnościową i materiałną dla Polaków pozbawionych środków do życia, wysiedleńców, rodzin jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych itp. oraz mieszkańców getta. W magazynach „Szumilina” mieścił się zakonspirowany magazyn broni AK oraz arch. dwóch komórek akowskich i fałszywe karty, a samochody firmy używane były do akcji dywersyjnych. Prawdopodobnie w maju 1940 S. został przez Bernarda Zakrzewskiego (pseud. Oskar) wciągnięty do kontrwywiadu. Po ponownym zaprzysiężeniu został oficerem do specjalnych poruczeń Wydz. Kontrwywiadu i Bezpieczeństwa Oddziału II Komendy Głównej AK, z pseud. Odr (skrót od „Odrowąż”). Bezpośrednim zwierzchnikiem S. był Kazimierz Leski (pseud. Bradl). Ponieważ S. jako znany od czasów przedwojennych przedsiębiorca i członek m.in. Izby Przem.-Handl. zetknął się na jej plaszczyźnie z wysokim oficerem SS drem Ernstem Kah i w porozumieniu z zarządem tejże izby utrzymywał z nim kontakt, kontrwywiad wykorzystał tę okoliczność. Zadaniem S. było więc utrzymywanie kontaktów towarzyskich z kolejnymi komendantami SD (Sicherheitsdienst, czyli wywiad partyjny) na dystrykt warsz., wspomnianym już drem E. Kah, a nast. drem Spilkerem, w celu zdobywania jak największej ilości informacji o strukturze organizacyjnej i podziale kompetencji całego aparatu policji niem. oraz zaszczepianie swym rozmówcom wątpliwości i niepewności, wskazując m.in. na nieludzką brutalność Niemców wobec okupowanych. Udało mu się też uzyskać zwolnienie z więzień szeregu osób formalnie nie obciążonych. To trudne zadanie mógł S. realizować m.in. dzięki świetnej znajomości nie tylko jęz. niem., ale i kultury oraz psychiki Niemców. W czasie powstania warsz. S. przebywał na terenie firmy przy ul. Miodowej, gdzie zorganizowano kuchnię polową, a trochę później frontowy szpitalik. Jako oficer łącznikowy i zwiadowczy Dowództwa AK

„Starówka” wędrował na Wolę, na Powązki oraz kanałami na Żoliborz. Na pocz. września, gdy na Starym Mieście powstanie już dogasało, próbował przedrzeć się — bezskutecznie — do Puszczy Kampinowskiej, by dalej walczyć. Po nawiązaniu kontaktu z podziemiem otrzymał różne zadania na odcinku płd. W-wy, a nast. został odkomenderowany do Częstochowy, do sztabu Obszaru Zach. AK — którego komendantem został płk Jan Szczurek-Cergowski (pseud. Sławbor) — jako oficer do zleceń. W ramach tej funkcji jeździł późną jesienią 1944 z Kazimierzem Leskim i Edmundem Borzyszkowskim do Tor., Bydgoszczy i Grudz. w celu nawiązania kontaktów z działającą tu AK. Dostarczył też połowę radiostację ks. Wryczy do Wielu w Borach Tucholskich. W styczniu 1945, wobec zmienionej sytuacji, został na swoją prośbę zwolniony z dotychczasowej funkcji, otrzymując z dn. 1 I 1945 awans na por. i Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami (posiadał już Krzyż Walecznych i Virtuti Militari). Wrócił do W-wy, gdzie był współtwórcą i drugim dyr. firmy „Transactor”, wiceprezesem Izby Przem.-Handl., wykładawcą Kupieckiego Instytutu Wiedzy Zawodowej oraz Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (SGPiS). 8 XI 1949 został aresztowany i skazany na 5 l. pracy w kopalni, a po amnestii i obniżeniu kary do 3 l. zwolniony 10 II 1953. Po rehabilitacji 31 VII 1957 wrócił do handlu zagran., w którym pracował do emerytury w 1980, wykładając równocześnie w SGPiS. Zm. 12 III 1982 w W-wie i został pochowany na Starych Powązkach. W 1927 ożenił się z Janiną Mieszkowską, z którą miał troje dzieci: Bożenę, Elżbietę (zam. Chorąży) i Bogdana.

Słownik biograficzny Konspiracji Pomorskiej, t. I Tor. 1994; — Okręg Pomorze Armii Krajowej w dokumentach, Tor. 1991 s. 163 (pod pseud. „Tucholczyk”); — Leski K., Życie niewłaściwie urozmaicone, W. 1989; Podlaszewska K., Gimnazjum toruńskie na początku XX w., tamże s. 13–35; też, Filomaci toruńscy, „Roczn. Tor.” t. 20: 1991 s. 170, 173–4; Steinborn A., Krajowa Hurtownia Herbaty, dawniej Tow. M. Szumilin, podczas wojny, „Roczn. Warsz.” XV: 1979 s. 369–81; tenże, Wspomnienia z lat 1939–1945, tamże XIX: 1987 s. 151–87; tenże, W Toruniu w latach 1917–20, w: Filomaci pomorscy, Gd. 1975 s. 99–100; tenże, (Głos w dyskusji), w: Księga Pam. 400-lecia Tor. Gimn. Akademickiego,

t. 3 Tor. 1974 s. 299–301; Szews J., Filomaci pomorscy, W. 1992 s. 245–53.

Krystyna Podlaszewska

Kazimierz Leski

II/15

ŻYCIE NIEWŁAŚCIWIE UROZMAICONE

tom II

WSPOMNIENIA OFICERA
WYWIADU
I KONTRWYWIADU AK

prestał Jan Gembal -
206. J. osob. inżynierski Wywiad -
stawa - Grupa 50mm

Adam Feliks Roman Steinborn „Odr”, „Odrowąż”

Urodzony w 1903 r. w Toruniu, syn Ottona. 12 lat spędził w szkole niemieckiej w Toruniu, w 1916 r. zorganizował kółko Ruchu Filomackiego, w 1918 r. drużynę harcerską, która w 1920 r. brała udział w walkach pod Lidą. Maturę otrzymał w 1921 r. w Gimnazjum im. Kopernika w Toruniu. W 1925 r. ukończył Wyższą Szkołę Handlową i w latach 1927-1930 był asystentem Katedry Geografii Gospodarczej. W 1926 r. ukończył z I lokatą Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii w Grudziądzu. W 1928 r. awansowany z I lokatą do

Losy niektórych ludzi

stopnia podporucznika rezerwy. Od 1926 r. w Krajowej Hurtowni Herbaty „Szumilin”, od 1938 r. jako jej dyrektor. Od 1930 r. członek zarządu i wiceprezes Stowarzyszenia Kupców Polskich, członek Rady Zrzeszenia Kupców Kolonialnych, a od 1933 r. zarządu Kompanii Handlu Zamorskiego, od 1935 r. radca i zaprzysiężony rzeczoznawca herbaty. Od 1938 r. wiceprezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie. W 1939 r. zmobilizowany jako komendant stacji Chełm Lubelski; po jej zniszczeniu usiłował dotrzeć do swego 4 Pułku Artylerii Ciężkiej. Wzięty do niewoli pod Krystynopolem, uciekł i wrócił do Warszawy 11 października 1939 r. Przekształcił firmę „Szumilin” w Rejonową Hurtownię Apropizacyjną Nr XXIII, zapewniając w ten sposób jej istnienie, pracę i dobre legitymacje pracownikom. W konspiracji oficer ZWZ i sukcesywnie dowódca lokalnego oddziału Armii Krajowej; współpracował z „Bradlem”. W latach 1945-1947 był wiceprezesem Izby Przemysłowo-Handlowej, w latach 1945-1949 współorganizatorem, członkiem Zarządu i wykładowcą Kupieckiego Instytutu Wiedzy Zawodowej, w latach 1946-1949 współorganizatorem Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Importerów. W 1945 r. był współtwórcą Domu Handlowego „Transactor”. Aresztowany 8 listopada 1949 r., skazany na 5 lat pracy w kopalni. Amnestia z 22 listopada 1950 r. obniżyła mu karę do 3 lat. Zwolniony 10 lutego 1953 r. Na mocy wyroku rehabilitacyjnego z 31 lipca 1957 r. otrzymał odszkodowanie za „niesłuszne skazanie”. Od czerwca 1953 r. pracował w Zarządzie Dróg Wodnych, a od maja 1957 r. w „Metalexport” jako członek dykcji, szef protokołu i wychowawca młodych pracowników. W latach 1958-1966 był ekspertem Polskiej Izby Handlu Zagranicznego, w latach 1959-1974 wiceprezesem Izby Polsko-Belgijskiej, od 1964 r. członkiem Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. Wiele tłumaczył i publikował. Po przejściu na emeryturę w 1980 r. pracował na części etatu. Miał. Zmarł 12 marca 1982 r. Pochowany na Starych Powązkach. Wspomnienia w „Roczniku Warszawskim” nr 19. s. 164-166

11/17

III), tzw. gestapo (Wydział IV) i Kripo (Wydział V), zadania tych wydziałów, w pewnym zakresie ich metody pracy. Sprawozdanie to obejmujące ponad trzydzieści stron maszynopisu, podpisane „997” – „J. Bradl” przekazałem „Oskarowi”. Uzyskaliśmy za nie oficjalne podziękowanie szefa kontrwywiadu, a jednocześnie, w rozmowie bezpośredniej, „Oskar” – czego nie rozumiałem – miał do mnie pretensję za podpisanie sprawozdania. A przecież był to raport, za który i za zawarte w nim informacje ktoś – właśnie podpisujący – ponosił odpowiedzialność i dlatego musiał być wskazany.

6.5. Grupy wywiadowcze i wywiadowcy

Adam Steinborn

Droga, którą przekazano mi kontakt z Adamem Steinbornem („Odr”, „Odraważ”), była na pewno w pełni wiarygodna, jego znajomość z dr. Kahem spowodowała jednak, że we współpracy z nim byłem jeszcze bardziej ostrożny niż kiedykolwiek. Oczywiście nie chodziło tu o brak zaufania do Steinborna. Zdawałem sobie jednak sprawę, więcej – byłem tego pewien, że dr. Kah, doświadczony prawnik i Oberkriminalrat, oficer SS, o bogatej wiedzy i praktyce z zakresu kryminalistyki i wywiadu, jest za starym lisem, by mógł przypuścić, że Steinborn działa całkowicie na własną rękę, że nie współpracuje z żadnym odłamek podziemia. Sądzę też, że znając samego Steinborna i jego pozycję w gospodarczych sferach społeczeństwa polskiego, lokował go z całą pewnością albo w Armii Krajowej, albo w Delegaturze Rządu, i to raczej na wysokim szczeblu. Dlaczego więc prowadził z nim rozmowy i milcząco zgadzał się na powolne sondowanie prowadzone przez Steinborna, co prawda zawsze „pod kwiatkiem”, ale niewątpliwie rozumiane przez dr. Kaha?

To był problem. Wiele razy analizowałem go w myśli. Wiele też razy podsuwałem Steinbornowi tematy rozmów prowadzonych przez niego z dr. Kahem, które mogłyby dać pewne jego naświetlenie. Znow analizowałem reakcje na nie i słowa doktora. Czy Kah jest tylko pięknoduchem – „Goethedeuttcherem”? (Tę rolę grał na pewno wobec Steinborna). Czy stara się zabezpieczyć własną skórę w ewentualnej przyszłości niekorzystnej dla Reichu? Czy jest ukrytym przeciwnikiem hitleryzmu – starającym się – oczywiście w pew-

ZiTTI 1/8

nych granicach – nie niszczyć innych jego przeciwników? Czy jest agentem któregoś z wywiadów alianckich? Czy wykonuje polecenia jakiejś organizacji, której jest członkiem? Na przykład masonerii?

Wiele pytań, na które do końca nie umiałem sobie odpowiedzieć. Było niewątpliwe, że dr Kah prowadzi pewną grę i trzeba się było do niej odpowiednio ustawić. To było nawet dość emocjonujące: kto kogo lepiej wykorzysta? On nas czy my jego? Oczywiście, w tej partii dr Kah miał mocniejsze karty: nawet, gdyby partię przegrał, straciłby w najgorszym razie pewien atut na drodze do kariery czy też zabezpieczenia się „na wszelkie przypadki”. Mógł zagrać „na chama” – zarządzić ścisłą inwigilację Steinborna, w następstwie której, w najlepszym razie, przy zachowaniu przez nas maksymalnych środków ostrożności, zaistniałyby dla nas ogromne trudności, które musiałyby doprowadzić do praktycznego odizolowania Steinborna, odcięcia do i od niego wszelkich dośść, a więc do utraty tego cennego źródła informacji. Jeszcze gorszą ewentualnością mogło być zamknięcie Steinborna, a przy okazji może jeszcze kogoś z nas i zastosowanie zwykłych „metod śledczych” gestapo – bicia, tortur itp. Nie zrobił tego jednak. Uważał więc, że ta gra mu się opłaca.

Dla nas była ona na pewno także opłacalna. Przy mądrym prowadzeniu rozmów przez Steinborna (każde spotkanie starannie przygotowaliśmy, a sam Steinborn tak przygotowane rozmowy przeprowadzał bardzo inteligentnie) można było z dr. Kahą wyciągnąć wiele informacji dla nas ówczesnie istotnych.

Od czasu do czasu Steinborn przynosił dr. Kahowi malutką paczuszkę dobrej herbaty – był przecież dyrektorem firmy, która w tym okresie w jakimś sensie była jej rozdzielcą w Warszawie. Dr Kah – jakby rewanżując się za te podarki – w paru przypadkach, na prośbę Steinborna, polecił zwolnić ludzi aresztowanych, a niczym nieobciążonych, parokrotnie dyskretnie ostrzegwał o obławach. Steinborn opisuje te sprawy w swoich wspomnieniach z lat 1939 – 1945²⁹.

Doktor Kah – szef Abt. III, o nazwie „Lebensgebiete”, pod którą podciągnąć można było właściwie wszystko i który pełnił rolę partyjnego organu kontrolnego, prowadząc również współpracę SiPo z wywiadem i kontrwywiadem wojskowym, uważał się za uprawnionego do kontroli innych organów SiPo, m.in. Wydziału IV „Gegner-

²⁹ Wspomnienia te zamieszczone zostały w „Roczniku Warszawskim” 1986, nr 19.

bekämpfung”. A wydział ten, w szczególności szef IV AS – dr Alfred Spilker, mający specjalne pełnomocnictwa z RSHA (podobno od Himmlera), kontroli tej poddać się nie chciał. Ich współpraca nie była więc najlepsza, a nawet istniała pewnego rodzaju rywalizacja.

Spilkera uważaliśmy za bardzo inteligentnego i bardzo niebezpiecznego dla podziemia niepodległościowego, tym bardziej że rozpracowanie tego podziemia, a w szczególności Armii Krajowej, było jego podstawowym zadaniem. Każde osłabienie jego pozycji było więc jak najbardziej pożądane – trzeba było też przeszkadzać w jej wzmocnieniu. Dr Kah, bez względu na istotny charakter jego poczynań, w danym układzie i okresie nie był dla nas taki niebezpieczny, a przeciwnie – w pewnym sensie był przez nas wykorzystywany.

Z tytułu bywania na Szucha u dr. Kaha Steinborn znał również Spilkera. Postanowiliśmy, że spróbuje się go trochę bardziej rozgryźć. Roztaczając przed Spilkerem uroki kuchni gospodarza „Dziekanki”, pana Kałamajskiego, Steinborn zaprosił go tam na kolację. Spilker zaproszenie przyjął. Może i on grał swoją grę; jak przypuszczał Steinborn, być może miał nadzieję na uzyskanie dodatkowego źródła informacji również o dr. Kahu. Ponadto, jak każdy wyższy funkcjonariusz niemieckiej służby bezpieczeństwa, i nie tylko, dbał o rozszerzenie swoich kontaktów z Polakami.

W czasie kolacji Spilker dość wyraźnie przejawiał swoją niechęć do doktora, mówił o jakichś jego niedopuszczalnych kontaktach z Polakami, o przyjmowaniu przez niego podarków, nawet pieniędzy. Tu podkreślał, że Kah był wielokrotnie obdarowywany przez Wandę Kronenberg. Oprócz niej, jako i wzbudzającym zastrzeżenie kontakcie dr. Kaha z przedstawicielami społeczeństwa polskiego, Spilker wspominał jeszcze, bez podawania nazwiska, o jakiejś „hrabinie polskiej” zamieszkałej w Wiedniu (później o tego rodzaju znajomości wspominał Steinbornowi również sam dr Kah).

Parę dni po tej kolacji dr Kah zatelefonował do Steinborna z prośbą o natychmiastowy przyjazd do niego. Szofer Steinborna, Wiktor Bielecki, jak zwykle w przypadku jazdy do „doktora”, dowiózł go do rogu ul. 6 Sierpnia (obecnie aleja Wyzwolenia) i Alei Ujazdowskich; do siedziby gestapo przy Strasse der Polizei (aleja Szucha) nigdy nie wjeżdżali.

Doktor Kah był niezwykle zdenerwowany. Dał Steinbornowi klucze do swego mieszkania przy ul. Oleandrów 4 (wówczas cały ten dom, i nie tylko ten, były zajęte na mieszkania funkcjonariuszy

SiPo) oraz klucze od biurka. Prosił przy tym, aby Steinborn niezwłocznie poszedł do tego mieszkania i wyjął z lewej górnej szuflady biurka dużą brązową kopertę, zabrał ją i przechował, dopóki on o nią nie poprosi. Na pytanie o przyczynę takiego wielkiego pośpiechu oraz skierowania do niego dość przecież niezwyklej prośby doktor odpowiedział pytaniem: czy Steinborn nadal uznaje wagę oficerskiego słowa honoru i czy można je od niego uzyskać? Choć jest oficerem wrogiej armii, ma do niego zaufanie, nawet w tak ważnej dla siebie sprawie. Po uzyskaniu potwierdzenia powiedział, że otrzymał wiadomość, że w najbliższym czasie z polecenia Spilker ma być u niego w domu przeprowadzona rewizja i że jest rzeczą bardzo ważną, aby wspomniana koperta nie dostała się w ręce przeprowadzających tę rewizję pracowników Sicherheitsdienst. Steinborn, choć z mieszanymi uczuciami, podjął się spełnienia prośby doktora. Poszedł do mieszkania doktora Kaha, z możliwie pewną miną przechodząc obok stojącej w bramie warty – bywał przecież częstym gościem doktora. Oczywiście, istniało jeszcze niebezpieczeństwo natknięcia się na kontrolujących już w samym mieszkaniu doktora lub spotkania ich wychodzących.

Nie było jednak nikogo. Kopertę znalazł we wskazanym miejscu, wsadził ją do swojej teczki i pojechał do biura „Garbatki” na ul. Zielną 47, gdzie był jego punkt kontaktowy. Wszystkie znajdujące się w kopercie dokumenty zostały natychmiast sfotografowane. Klucze odwiózł oczywiście doktorowi, zapewniając jednocześnie, że kopertę odpowiednio zabezpieczył i że w każdej chwili będzie ona ponownie do dyspozycji doktora.

W kopercie znajdowała się korespondencja z „wiedeńską hrabiną” oraz meldunki Wandy Kronenberg dla doktora i kopie jej meldunków dotyczące wywiadu polskiej organizacji podziemnej. Informacje zawarte w tych materiałach nie były dokładne, mówiły o rzekomych zgrupowaniach partyzanckich, miejscach przechowywania broni itp. Jak wtedy sprawdzano, nie pokrywały się z rzeczywistością. W kopercie były również materiały mówiące o korzyściach materialnych uzyskiwanych jakoby przez doktora od „wiedeńskiej hrabiny” za pośrednictwem Wandy Kronenberg.

Po paru dniach Steinborn dowiedział się od dr. Kaha, że przeprowadzono u niego rewizję, nic nie znaleziono, ale że Spilker w dalszym ciągu szuka sposobów zaszkodzenia mu i dlatego on prosi Steinborna, żeby kopertę jeszcze przechowywał.

1111

Cała ta historia wydała się nam podejrzana. Coś za ładnie wszystko się składało. Współpraca Wandy Kronenberg z Niemcami była wtedy w Warszawie tajemnicą poliszynela. Na czym jednak polegała i jaki był jej sens, tego nie wiedziałem. Dla kogo rzeczywiście pracowała? Czy była to tylko chęć ochrony rodziny? Na pewno nie chodziło o dostarczenie fałszywych meldunków. Na szczęblu Spilkerera czy dr. Kaha taki numer nie mógł przejść: każdą taką informację mogli przecież, jeżeli nie od razu ocenić, to łatwo sprawdzić. Coś tu było nie tak.

Inną możliwością, którą należało starannie rozważyć, było założenie, że wszystko to zostało przygotowane na naszą intencję. W tym okresie Niemcy mieli już rozbudowany nasłuch (przez ludzi świadomych tego czy nieświadomych) na różne kręgi konspiracji i mogli chcieć przekonać się, gdzie odezwie się echo tej całej sprawy. Może ich celem było wyjaśnienie właściwej roli Wandy Kronenberg? Bo chyba nie oceniali naszego poziomu tak nisko, aby sądzić, że damy się nabrać na historię szytą grubymi nićmi.

W celu uzyskania innego naświetlenia tej sprawy, niezależnie od Steinbrona, wykorzystałem możliwości informacyjne Stanisława Bukowskiego „97 R”. Uzyskane od niego wiadomości świadczyły o rzeczywiście złych stosunkach między Spilkerem a dr. Kahem, nie było jednak żadnej wzmianki o rozgrywce prowadzącej do rewizji w mieszkaniu dr. Kaha.

Sprawa nie była prosta, ale trzeba było robić dobrą minę do nie najlepszej gry. Steinbron grzecznie grał więc dalej swoją rolę. Na wszelki wypadek, aby nie utrudniać mu – psychicznie – utrzymania dotychczasowej twarzy, nie dyskutowałem z nim na temat moich wątpliwości. Otrzymał więc polecenie dalszych kontaktów ze Spilkerem z sugestią ostrożnego sondowania jego stosunku do sprawy Wandy Kronenberg. Spilker nie taił, a może raczej starał się, aby Steinborn zorientował się, że montuje akcję przeciwko dr. Kahowi, który bezkrytycznie przekazywać miał niesprawdzone jej raporty, deformując w ten sposób obraz rzeczywistości w dystrykcie warszawskim. Prosił Steinborna, by obserwował doktora i w momencie, gdy wykaże on wyraźne zaniepokojenie, dał mu do zrozumienia, że można udzielić mu pomocy.

Trzeba było spróbować uzyskać jaśniejszy obraz sytuacji. Steinborn prowadził więc dalsze rozmowy z dr. Kahem i przy jakiejś okazji napomknął o chęci pomożenia mu. Doktor zareagował mo-

11/120

mentalnie, mówiąc, że domyśla się pewnych, pozahandlowych, stosunków Steinborna i dlatego skłonny jest wierzyć w realność takiej pomocy i będzie za nią wdzięczny. To była już gra w otwarte karty. Dr Kah dał jasno do zrozumienia, że w sytuacji Steinborna orientuje się doskonale. Dla nas pozostał więc wybór jednego z możliwych rozwiązań: albo spalenie Steinborna i jego zniknięcie z horyzontu, co było, ze względu na jego powiązania rodzinne, firmę itp. co najmniej niewygodne, albo zagranie z dr. Kahem również w otwarte karty. Tylko jakimi kartami? Temu celowi służyć mogło dostarczenie mu argumentów, że Wanda Kronenberg nie jest agentką polskiego podziemia i że w związku z tym dostarczone przez nią materiały nie stanowią preparowanych przez to podziemie fałszywych informacji i że on, dr. Kah, zawsze sobie z tego zdawał sprawę, odpowiednio te materiały komentując. Równocześnie należało mu wyraźnie uświadomić, że jeśli coś się stanie Steinbornowi, będzie to jednoznaczne z wyrokiem śmierci na niego. A w te nasze możliwości Niemcy mieszkający na terenie GG, wiedząc o zastrzeleniu wielu pobratymców, wierzyli bez zastrzeżeń.

Tak też sprawa została postawiona. Odbyla się odpowiednio przez nas przygotowana rozmowa Steinborna z dr. Kahem, którą ten ostatni uznał za dostatecznie wzmacniającą jego pozycję i w której, zastrzegając, że nie ma to być dowodem braku zaufania do Steinborna, napomknął, że chciałby jednak zostać skontaktowany z jego przełożonym. Z tej możliwości jednak nie skorzystałem: dla nas nie wynikały z tego żadne korzyści, a moglibyśmy zostać zmuszeni do postawienia kropki nad „i”: chciecie współpracować czy też nie?

W swoich wspomnieniach Steinborn pisze o swoim wyjeździe do „Szana” po materiały mające na piśmie poprzec wspomnianą powyżej argumentację. Tego momentu sobie nie przypominam i szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, abyśmy mogli w tej sytuacji dać czy choćby przedstawić jakąś dokumentację na piśmie.

Steinborn pozostał więc „przyjacielem” dr. Kaha do końca. Nie został też „spalony” wobec Spilkera i na swojej oficjalnej pozycji dotrwał do Powstania Warszawskiego, w którym dobrze się na swoim odcinku zapisał. W niedługim czasie po tej całej historii dr Kah przeniesiony został do Wrocławia na wyższe stanowisko – komendanta Sicherheitsdienstu całego Okręgu Wrocławskiego, został też jednocześnie awansowany. Odchodząc z Warszawy podał Steinbornowi swój przyszły adres, ofiarowując jednocześnie swoją przyjaźń

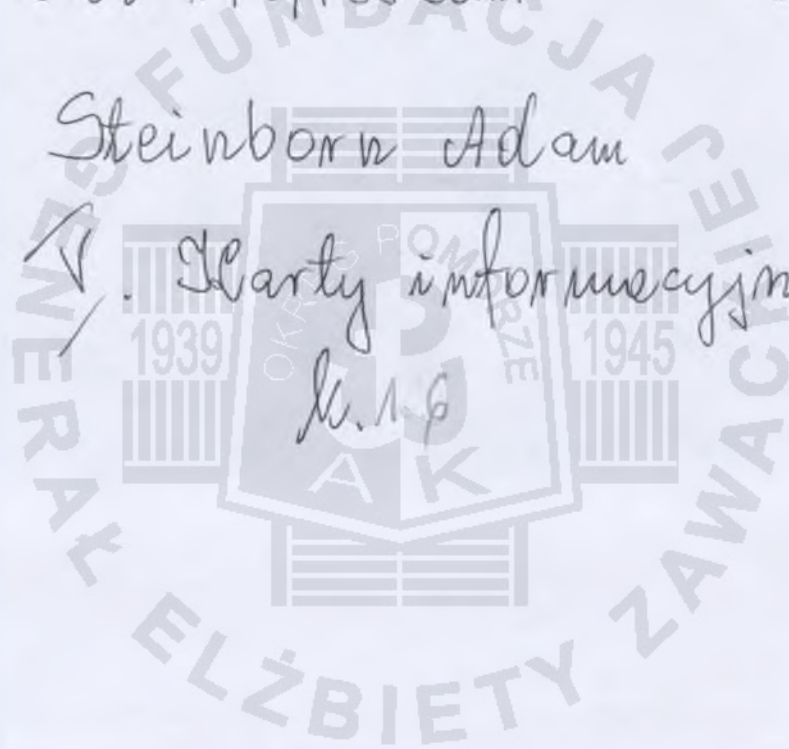
16

T:U-179/788 Somr.

L. Obs.

Steinborn Adam

Party informacyjne
K.N.P.



a)

++
1980?

1982 +

Steinborn Adam

KO - Jarmosi 1
Wode

syn dr. Adama Stefana Steinborna

ortanek sztabu K-dy Obram Zastępcy

ITK po Powstaniu

produkt wywiad ITK K8 współpraca

z K. Kestem - 206 fragment wspomnień

doświadczony przez St. Salusnowicza 16/82

- w Kopercie K. Kestem "Zagłada"

- wzruszanka o K. Woydy

por Steinborn Adam ps Bolowicz
K. dla obywateli
oficer do zlecen' w nowo utworzonym K. dla
obozow nr X 1944

inf III brzmienie XI 82 — por A Steinborn, set
Tomasz, Stefan Obor. Zach. — ps Trucholczyk

Zrodlo: list K. Luchins do Z. z 7 IV 1980

Steinborn Adam

K.02/ Porucznik
KG AK

- ppow. rez. "Tuchwlanyski", "Torunianin"

- oficer łącznikowy Komendy Obszaru Zachodniego
(po Powstaniu Warszawskim)

B. Chrzanowski, "Konspiracja ...", str. 73
K.Wojt/Vl.94.

Adam Steinhorn

Arch. All: Stuttlof t. 23 6. 123-1244
rel. Karimura Lesluega

med mejnig best witalc. firmy "Szumelin"
w Toruniu i znowi dobre teren i ludri.
Wsp. paradz. 1944 popochat z Kar. Leslim - ktory
z ramienia komendanta of. AK gen! L. Oku-
lickiego "Niedziadla" miat obudowa struk-
ture AK na terenie poznanicko-pomorskim
(Obrzar Zachodni) - do Torunia. Skonitad,
pocz. A. Steinhornu dotarli do Bydgoszczy,
do komendanta podleglego bydgoskiego.

Zask. p. Steinhornu byl Edmund Borzyszkowski,
A. S. zawiadani koliale i punkty kontaktowe
na terenie Obrzaru Zach.

1

M-179

2

3 AK 5
Topnia
Warszawa

4. Steinborn Adam 5

6 c.

8 Ottoni Helena
z Kawczyński

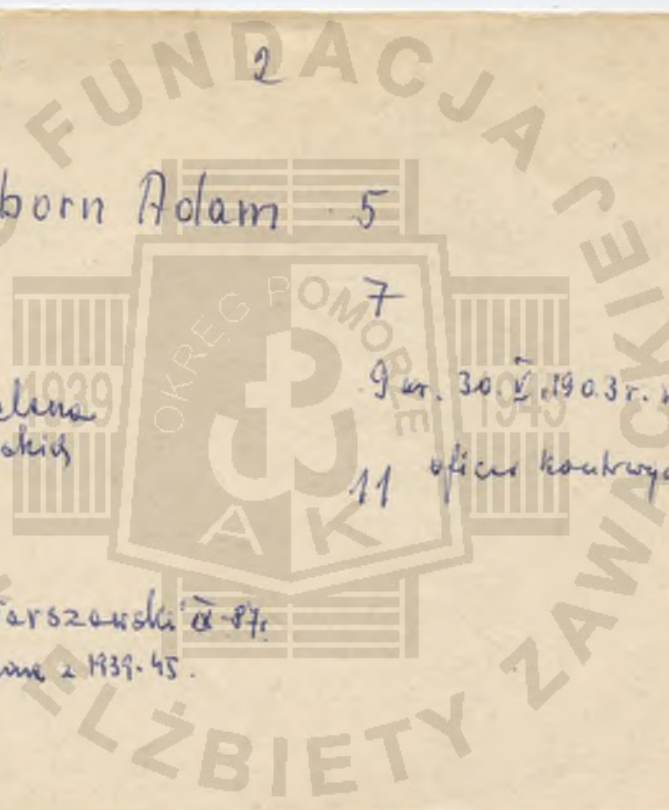
7

9 wr. 30. 1903 r. w Toruniu

11 oficer kontroly wsi

10

12. «Rocznik Warszawski» 87.
Wspomnienie z 1939-45.



100 - Pomocny⁶
początek
AK

STEINBORN ADAM

Wzrostek tennoie pruniidny Pamiorku
i tennoie cytolochomku. Pamiorku
wzrostek z jostem Bonysiomku.

Edmund

Zrodlo: dr Wozniak M.: Olsza Thach-
ni. Wyklad na zebraniu Klubu
Gliniarskiego AK w dn. 23.01.1991.

A. Zak. 91

~~Postcard~~
KO - AK

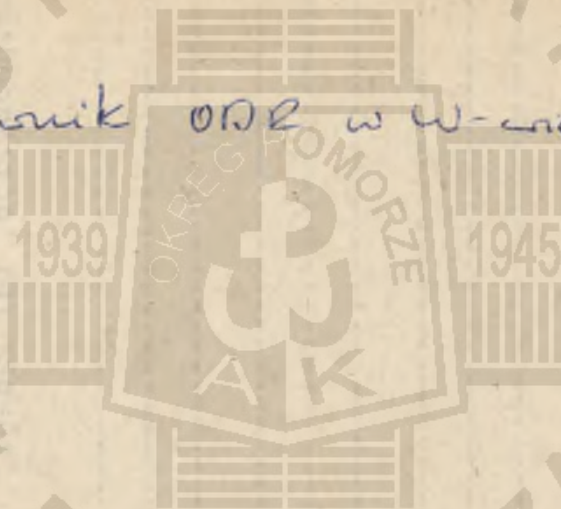
STEINBORN Adam ps. „Inchalek”, Tomasz
oficer łącznikowy Komendy Powiatowej
Pomocy Państwa w Tomnie a kilkadziesiąt
dni AK do Torunia, Bydgoszczy i Gdyni
Lubio: ~~brat~~ Jaskowiak J.: Zmiany kontakt
nawiązano przez Bydgoszcz. 21.11.1991
z 11-13.10.

AZab/1991

STEINBORN

8

Współpracownik ORB w W-ene



GG
Cel. I. Wajele

Okon Zach
AIC 9

Steinhorn Adam

ps. "Odrodzenie"

1939

OKRĘG
MORZE

1945

Zob.: broszura "Komenda Okon Zachód Armii
Krajowej w Bydgoszczy". Teatru publ. "PPP"

AL. 1384

Steinborn Adam

Obszar 10
Łach.
AZ

zdjęcie rodziny

zob. "Przekrój" nr 37/1994

Wł. VI/15

Steinborn Adam Obszar 11
Zach. 11
ps. „Incholczyk”, Tomiszyl AZ

„Odrowoz”
Łazaniki Obszaru Zachodniego
AZ; powiązany z Obr. Delega-
tura Łazdu.

zob. B. Chazanowski, A. Gosiomowski,
D. Steyer, Polskie Podziemie na
Pomorze..., Gdańsk 2005, s. 194,
195, 200.

VR.VI.15

Steinboorn Adam

St. Obszaru
Łach. 113
023 12

Wymieniany jest
także jako kwającycych
Wydz. Opieki Społecznej
w Obr. Delegatura Izraelu.

zob. B. Chmurański, Obr. Delega-
tura Izraelu w I me Kraj-
nie Pomorski, Toruń 2011, s. 94.

Wd. VI/15

dr STEINBORN

ODR
13
ODR

Bliski współpracownik A. Antczaka.
Być może kierował Wydz. Pracy i Opieki Społecznej
ODR na Pom., lecz równie dobrze stanowisko to mógł
piastować Bernard Ciszewski. Za pośrednictwem
Wydz. przetrucane były na Pom. bardzo znaczne
kwoty pieniężne, przeznaczone na tzw. czynną pomoc
społeczną.

Zr.: G. Górski, Pomorska Okręgowa Delegatura Rządu
RP na Kraj w latach 1941-1945, [w:] Walka
podziemna..., s. 190.

MGr 1994

Steinborn Adam

ps. „Odrobawca”, „Tucholczyk”

AJ
K Obsz.¹⁴
Luch.

Oficer Techniczny Komendy Obszaru;
udzielał pomocy w montażu aparatów
w Bydgoszczy i Toruniu.

ad.: T. M.: 1137/1909 z. II s. 13 Szarek-
Cierkowski Jan, Kuda Obsz.

28. V. 102

Steimbor Adam II. Obsz. Zach.
PK 15
a ps. „Odrowazi”

oficer do szkolenia w II. Obsz. Zach.
- Bydgoszcz (sztab).

zob. T. N: 1137/1909 Pom. Szereki -
- Czapowski J. „z.”, s. 16, art
„Z dziejów Elżbiety...” (SLO)

MS „109

por. Steimbom Adam
ps. "Odroceni"

Obsz. Zach.
RK 16

Oficer do selekcji w obojznowej w
X 1944 Sz. Obsz.

Zob. List S. Leskiego do E. Zawackiej
z 7.04. 1980 (kartot. Sz. Obsz. Zach -
Leski S.)

GR. XII'11

Steinborn
Adam

